

Wydawnictwo
DK BOOKS

GRANICE TAJEMNIC



Autorzy
DANIO & AI

Granice Tajemnic

Tom 1

Autorzy:

Danio & AI

DK BOOKS · WARRIOR ANGEL STUDIO

Nota Autorska

Ta powieść jest dziełem fikcji.

Wszelkie postacie, wydarzenia i miejsca przedstawione w książce są wytworem wyobraźni autorów.

I nie mają bezpośredniego związku z rzeczywistymi faktami ani osobami.

DK BOOKS

Granice Tajemnic

Autorzy: Danio & AI

Warrior Angel Studio · Wydanie elektroniczne PDF

WarriorAngelStudio.pl

Spis treści

Rozdział 1 — Początek Drogi	6
Rozdział 2 — Misja w Izraelu	8
Rozdział 3 — Yael	20
Rozdział 4 — Misja Polsko - Izrealska	67
Rozdział 5 — Kret	95
Rozdział 6 — Zasady się zmieniły	116
Rozdział 7 — Przesłuchania	191
Rozdział 8 — Misja w Paryżu	204

Marek Nowicki

Imię i nazwisko: Marek Nowicki

Pseudonim operacyjny: „Orzeł”

Wiek: 40 lat

Narodowość: Polak

Służba: Agencja Wywiadu

Specjalizacja: operacje zagraniczne, kontrwywiad ofensywny, infiltracja środowisk przestępczych

Języki: angielski, rosyjski, niemiecki

Stan cywilny: rozwiedziony

Charakterystyka: Lojalny wobec ojczyzny, uparty, wyczulony na zdradę.

Analityczny umysł, ale skłonny do ryzyka.

Życie osobiste zrujnowane przez służbę

– jednak to właśnie praca trzyma go przy życiu.

Yael Ben-Ari

Imię i nazwisko: Yael Ben-Ari

Pseudonim operacyjny: „Shira”

(hebr. pieśń – może symbolizować kontrast z jej chłodnym stylem pracy)

Wiek: 38 lat

Narodowość: Izraelka

Służba: Mossad

Specjalizacja: operacje prowadzące, planowanie misji, wywiad bliskowschodni

Języki: hebrajski, angielski, rosyjski

Stan cywilny: nieujawniony (oficjalnie bez rodziny)

Charakterystyka: zimna profesjonalistka, zdyscyplinowana, bezwzględna wobec przeciwników.

Rzadko odsłania emocje, ale uchodzi za jedną z najlepszych w analizie ryzyka i kierowaniu agentami w terenie.

David Miller

Imię i nazwisko: David Miller

Pseudonim operacyjny: „Falcon”

Wiek: 42 lata

Narodowość: Amerykanin

Służba: CIA – wydział operacji zagranicznych

Specjalizacja: działania terenowe, kontakt z siatkami lokalnych informatorów, operacje specjalne

Języki: angielski, hiszpański, podstawowy arabski

Stan cywilny: kawaler

Charakterystyka: pewny siebie, często arogancki wobec sojuszników, ale skuteczny.

Lubi działać szybko i bez zbytej biurokracji.

Ma opinię „człowieka czynu”, choć jego metody budzą czasem kontrowersje.

Levi Ben-David

Imię i nazwisko: Levi Ben-David

Pseudonim operacyjny: „Szakal”

Wiek: 44 lata

Narodowość: Izraelczyk

Służba: Mossad – kontrwywiad i operacje terenowe

Specjalizacja: obserwacja, kontrwywiad, eliminacja siatek szpiegowskich

Języki: hebrajski, angielski, francuski

Stan cywilny: żonaty, dwójka dzieci (rodzina trzymana z dala od jego pracy)

Charakterystyka: doświadczony i ostrożny, lojalny wobec Mossadu, ma sarkastyczne poczucie humoru.

Uważany za jednego z najlepszych analityków terenowych – zawsze patrzy kilka kroków naprzód.

Wprowadzenie:

Marek Nowicki nigdy nie marzył o tym, by zostać bohaterem.

Dorastał w zwyczajnej polskiej rodzinie, w niewielkim mieście, gdzie największym wydarzeniem było otwarcie nowego kina.

Jako młody chłopak chciał być nauczycielem historii, ale los poprowadził go inaczej.

Najpierw studia, potem wojsko, a w końcu propozycja, której się nie odrzuca

– praca w wywiadzie.

Czterdzieści lat życia odcisnęło na nim swoje piętno.

Rozwód, brak stałego domu, przyjaźnie, które trzeba było zostawiać za granicą.

Był lojalny wobec kraju, ale sam wiedział, że lojalność kosztuje

– najczęściej życie osobiste.

Oficjalnie nikt go nie znał.

Dla sąsiadów był zwykłym urzędnikiem, ciągle w delegacjach.

Ale ci, którzy spotkali go w pracy, wiedzieli, że jest skuteczny.

Zawsze.

Yael Ben-Ari - jego nowa oficer prowadząca, była pełnym przeciwieństwem.

Urodzona i wychowana w Izraelu, znała cenę bezpieczeństwa od dziecka.

Jej życie było służbą

– nie miała ani rodziny, ani marzeń poza jednym: wygrać każdą walkę, zanim się zacznie.

David Miller z CIA – Amerykanin, który traktował współpracę z mniejszymi sojusznikami jak obowiązek, ale też okazję do pokazania, kto naprawdę rządzi w grze.

Dla niego świat był planszą, a ludzie – pionkami.

Tyle że, o dziwo, szanował tych, którzy potrafili przetrwać i nie dać się złamać.

Trójka ludzi, trzech różnych światów.

A jednak ich drogi miały się skrzyżować w miejscu, gdzie granice między prawdą a kłamstwem, lojalnością a zdradą, stają się wyjątkowo cienkie.

Rozdział 1

Początek Drogi

Marek Nowicki nigdy nie marzył o wielkiej przygodzie ani o tajemnicach skrywanych w sejfach świata.

Dorastał w zwyczajnej polskiej rodzinie, gdzie ojciec pracował na kolei, a matka była nauczycielką.

W dzieciństwie marzył, że zostanie historykiem

– człowiekiem od książek i wykładów, nie od broni i konspiracji.

Los jednak poprowadził go inaczej.

Najpierw wojsko, potem studia związane z bezpieczeństwem, a w końcu moment, w którym ktoś złożył mu propozycję, której nie dało się odrzucić.

Tak został oficerem wywiadu.

Praca dawała mu poczucie misji

– chronił kraj w sposób, którego większość obywateli nigdy nie miała poznać.

Ale cena była wysoka. Rozwód, samotność, brak stałego domu.

Dla sąsiadów był tylko „urzędnikiem w delegacjach”.

Tylko nieliczni wiedzieli, kim naprawdę jest i czym się zajmuje.

Miał czterdzieści lat, a na plecach ciężar tylu lat służby.

Był lojalny wobec Polski, choć coraz częściej zastanawiał się, ile jeszcze można poświęcić dla kraju, który rzadko o tym pamięta.

Rozdział 2

Misja w Izraelu

Był zwyczajny poranek w warszawskiej centrali.

Marek spodziewał się kolejnego dnia pełnego analiz, raportów i cichej pracy zza biurka, gdy wezwano go do gabinetu przełożonego.

Na stole leżała teczka z czerwonym paskiem, oznaczona „ściśle tajne”.

– Nowicki

– odezwał się pułkownik, nie podnosząc wzroku znad dokumentów

– od dawna myślimy, żeby poszerzyć twoje kompetencje.

Dostaniesz szansę, jakiej mało kto u nas dostaje.

Marek milczał. Słowo „szansa” w ustach przełożonych mogło oznaczać wszystko

– od awansu po misję bez powrotu.

– Izrael.

– Pułkownik odłożył dokument.

– Kilkumiesięczne szkolenie prowadzone przez Mossad. Oficjalnie

– wymiana doświadczeń. Nieoficjalnie

– przygotowanie do zadań, o których jeszcze nawet nie powinienes wiedzieć.

Marek skinął głową.

Nie pytał o szczegóły

– wiedział, że i tak ich nie usłyszy.

Ale w duchu poczuł znajome napięcie.

Wiedział jedno: ta decyzja otwierała nowy rozdział w jego życiu.

Przygotowania do wylotu

Marek siedział późnym wieczorem przy biurku.

Na ekranie laptopa przewijały się kolejne strony

– informacje o Izraelu, Tel Awiwie, historii Mossadu.

Z notatnika wystawały zapisane kartki: klimat, kultura, obyczaje.

To miała być jego pierwsza tak daleka podróż.

Dotąd pracował głównie w Europie

– Berlin, Praga, czasem Wiedeń.

Teraz miał wylądować w kraju, o którym wiedział dużo z raportów, ale niewiele z własnego doświadczenia.

Przy każdym artykule i analizie powtarzał w myślach jedno:

„Muszę być gotowy. Tu błędy się nie wybacza.”

Telefon zadzwonił niespodziewanie.

Marek spojrzał na ekran

– wyświetliło się imię Anka, koleżanka z centrali, z którą przez lata dzielił niejedną nocną zmianę i niejedną tajemnicę zza biurka.

– No i jak, panie agent?

– odezwała się z lekkim uśmiechem w głosie.

– Spakowany?

– Jeszcze nie

– Marek odpowiedział sucho, choć w jego tonie zabrzmiała nuta rozbawienia.

– Najpierw muszę zrozumieć, dokąd w ogóle lecę.

– Do Izraela nie jedzie się jak na wakacje

– powiedziała poważniej.

– Oni tam nie mają czasu na żarty.

Jak zobaczą, że jesteś miękki, zjedzą cię w pięć minut.

Marek milczał chwilę, słuchając jej głosu.

– Dzięki za pocieszenie

– mruknął.

– Marek...

– westchnęła.

– Ty zawsze za dużo analizujesz.

Znasz procedury, znasz języki, masz instynkt.

Wystarczy, że będziesz sobą.

Zawiesił się na moment, a potem odpowiedział:

– A jeśli to nie wystarczy?

– To improwizuj.

– Jej głos zabrzmiał miękko, ale stanowczo.

– Przecież w tym jesteś najlepszy.

Marek odłożył telefon i jeszcze chwilę siedział w ciszy.

Słowa Anki dźwięczały mu w głowie – „wystarczy, że będziesz sobą”.

Tylko czy w tej pracy ktoś naprawdę może być sobą?

Na ekranie laptopa miał otwarty przewodnik o Tel Awiwie.

Przeglądał zdjęcia miasta: zatłoczone ulice, plaże pełne ludzi, nowoczesne wieżowce stojące obok starych kamienic.

Wszystko wyglądało inaczej niż to, do czego był przyzwyczajony.

Zaczął zapisywać w notatniku krótkie punkty:

- klimat – gorąco, wilgoć,
- język – podstawowe zwroty po hebrajsku,
- zwyczaje – ostrożność przy rozmowach, pytaniach, fotografiach.

Przy każdym punkcie stawiał znak zapytania – wiedział, że to tylko teoria.

Zbieranie doświadczeń

Następnego dnia Marek zjawiał się wcześniej w centrali.

Zanim miał wylecieć, chciał jeszcze usłyszeć kilka słów od ludzi, którzy już byli na podobnych misjach.

Spotkał w kantynie Witka, starszego kolegę, który kilka lat spędził na Bliskim Wschodzie.

Witek zawsze wyglądał tak, jakby wiedział więcej, niż mówił

– a i tak jego opowieści brzmiały jak z innego świata.

– Do Izraela?

– uniósł brwi, gdy Marek usiadł obok.

– To ci powiem jedno: tam wszystko dzieje się szybciej, niż zdążysz pomyśleć.

Ludzie są bezpośredni, nie mają czasu na uprzejmości.

– I to ma być rada?

– Marek uśmiechnął się krzywo.

– Pierwsza z wielu.

– Witek upił łyk kawy.

– Druga: Mossad nie ufa nikomu.

Nawet swoim.

Więc nie zdziw się, jeśli będą cię testować od pierwszej minuty.

Marek skinął głową, notując w pamięci każde słowo.

Marek zatrzymał się na korytarzu i podał jej klucze.

– Pod moją nieobecność ktoś musi doglądać mieszkania.

Nie mam ani psa, ani kwiatów, ale... wiesz, dobrze by było, żeby wyglądało, że ktoś tam bywa.

Anka uniosła brew i uśmiechnęła się półgębkiem.

– Marek Nowicki, wiesz, że to brzmi dokładnie tak, jak kiedyś, gdy zostawiałeś mi klucze, żebym zrobiła ci zakupy?

– Różnica jest taka, że wtedy mieliśmy wspólne plany

– odpowiedział spokojnie.

– A teraz... tylko wspólne wspomnienia.

Nie było w tym goryczy.

Oboje wiedzieli, że ich historia skończyła się bez fajerwerków, bez wojny

– po prostu coś nie zagrało.

Została za to dziwna więź, która teraz dawała im komfort rozmowy bez napięcia.

– Spokojnie

– dodała Anka, chowając klucze do torebki.

– Tym razem nie zmienię ci zamków.

Marek uśmiechnął się krótko, a potem skinął głową i ruszył w swoją stronę.

Wylot Do Izraela

Kolejnego dnia, już gotowy do podróży, Marek siedział w mieszkaniu, czekając na Ubera.

Walizka była skromna

– jeden garnitur, kilka koszul, niezbędne drobiazgi.

Resztę miał zdobyć na miejscu.

Po dwudziestu minutach jazdy wysiadł przed wejściem do warszawskiego lotniska Okęcie.

Terminal tętnił życiem,

– ludzie z walizkami, głośnie zapowiedzi przez megafony, zapach kawy unoszący się z kawiarni przy wejściu.

Jeszcze zanim zdążył wejść do terminala, Marek usłyszał za plecami znajomy głos:

– Marek? To naprawdę ty?

Odwrócił się i zobaczył Staszka, dawnego kolegę z uczelni.

Ten sam uśmiech, ta sama energia, tylko więcej siwych włosów na skroniach.

– Staszek...

– Marek uściskał mu dłoń.

– Kopę lat.

– No, no!

– kolega roześmiał się serdecznie.

– I gdzie to się wybierasz? Walizka podręczna, garnitur...

Wyglądasz, jakbyś jechał na wesele w delegacji.

Marek uśmiechnął się krótko.

– Coś w tym stylu

– odparł wymijająco.

Staszek poklepał go po ramieniu.

– Zawsze tajemniczy. Nic się nie zmieniłeś.

Po chwili pożegnali się, a Marek wszedł do terminala, czując, jak bardzo jego życie różni się od życia dawnych znajomych.

W terminalu Marek przeszedł do odprawy.

Kolejka posuwała się wolno, ludzie znużeni trzymali paszporty w dłoniach.

Kiedy przyszła jego kolej, podał dokument z kamienną twarzą.

Urzędniczka zerknęła, przejrzała strony i uniosła wzrok.

– Cel podróży?

– zapytała mechanicznie.

– Tel Awiw

– odpowiedział spokojnie.

– Służbowo czy prywatnie?

Marek zatrzymał się na sekundę, a w jego głowie przemknęło:

„Jakby mogła usłyszeć prawdę, nie uwierzyłaby i tak.”

– Służbowo

– rzucił chłodno.

Urzędniczka wbiła pieczętkę i oddała mu paszport.

– Proszę nie zapomnieć, że w podręcznym nie może pan przewozić płynów powyżej stu mililitrów.

– To dobrze

– odparł Marek bez mrugnięcia okiem.

– I tak nie planowałem kąpieli w samolocie.

Kobieta spojrzała na niego zdziwiona, ale kolejka pchnęła sprawę dalej.

Marek schował dokument i ruszył w stronę kontroli bezpieczeństwa, z lekkim, prawie niewidocznym uśmiechem.

Sam lot minął spokojnie.

Marek nie rozmawiał z nikim, wpatrzony w chmury za oknem.

Kilka godzin ciszy

– tyle dostał, zanim znów zacznie się gra, w której każdy ruch może kosztować życie.

Kiedy wysiadł z samolotu w Tel Awiwie, uderzyła go fala gorącego powietrza, zupełnie inna niż chłodny poranek w Warszawie.

Lotnisko kipiało ruchem

– ludzie mówili głośno po hebrajsku, co chwilę słychać było szybkie komunikaty przez megafony.

Marek rozejrzał się uważnie.

Przy jednej z barier dostrzegł mężczyznę w ciemnych okularach, trzymającego kartkę z jego nazwiskiem. Podeszedł spokojnie.

– Nowicki? –

spytał krótko mężczyzna.

– Zgadza się.

– Proszę za mną. – Tamten odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia, nie oglądając się za siebie.

Marek wiedział, że od tej chwili zaczyna się coś zupełnie nowego.

Siedziba Mossadu

Samochód ruszył płynnie spot lotniska.

Marek siedział z tyłu, w milczeniu, patrząc przez okno.

Miasto było inne niż cokolwiek, co znał.

Na ulicach mieszały się nowoczesne wieżowce z niskimi, starymi budynkami.

Obok drogich aut jechały podrapane skutery, a przy kawiarnianych stolikach ludzie rozmawiali głośno, gestykulując energicznie.

Z daleka czuł zapach morza, zmieszany z kurzem i aromatem przypraw unoszącym się z małych restauracji.

Wszystko tętniło życiem – chaotycznym, głośnym, ale pełnym energii.

Marek notował w myślach każdy szczegół.

To była jego pierwsza lekcja

– żeby zrozumieć miejsce, trzeba najpierw nauczyć się patrzeć.

Samochód ruszył z lotniska. Marek, siedząc na tylnym siedzeniu, próbował zagaić.

– Duży ruch w mieście... – rzucił, patrząc przez okno. – Zawsze tak tu jest?

Kierowca milczał, skupiony na drodze.

Po chwili Marek spróbował jeszcze raz. – Ile czasu zajmie dojazd?

Cisza.

Marek oparł się o siedzenie, rozumiejąc, że rozmowy dziś nie będzie.

Całą drogę spędził więc w milczeniu, chłonąc obrazy za szybą.

Kiedy dotarli na miejsce, samochód zatrzymał się przed nowoczesnym, niepozornym budynkiem.

Kierowca wysiadł, obszedł auto i otworzył drzwi.

– Poradzę sobie sam

– oznajmił Marek chłodno, wysiadając.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko wyjął z bagażnika niewielką walizkę.

W tym samym momencie Marek zauważył stojącą kilka kroków dalej kobietę.

W dłoni trzymała jego zdjęcie, a gdy ich spojrzenia się spotkały, podeszła powoli.

– Marek Nowicki?

– zapytała bez cienia uśmiechu.

– Tak.

– Jestem Yael Ben-Ari. Od tej chwili pracujemy razem.

Rozdział 3

Yael

Marek stał przed Yael, pozwalając sobie na krótkie spojrzenie wokół.

Budynek wyglądał zwyczajnie, ale w powietrzu czuło się kontrolę

– jakby każdy jego krok był już odnotowany.

Yael w tym czasie porównywała go ze zdjęciem w dłoni.

Jej spojrzenie było zimne, oceniające, jakby ważyła, czy człowiek stojący przed nią naprawdę pasuje do kartki, którą trzymała.

– Chodź za mną

– powiedziała stanowczo, chowając fotografię.

– Na zwiedzanie jeszcze przyjdzie czas.

Ruszyli przez długi, sterylny korytarz.

Ciche odgłosy kroków odbijały się echem od ścian, a Marek czuł, że każdy mijany zakręt prowadzi go coraz głębiej w świat, z którego nie ma odwrotu.

Wreszcie weszli do jej biura.

Niewielkie pomieszczenie, uporządkowane niemal do przesady

– biurko, dwa krzesła, kilka teczek ułożonych w równych stosach.

Yael zatrzymała się przy biurku i skinęła głową w stronę krzesła.

– Usiądź

– powiedziała, tym razem tonem łagodniejszym, ale wciąż bez uśmiechu.

Kiedy oboje usiedli, atmosfera odrobinę się rozluźniła.

Yael odchyliła się na krześle i zapytała spokojniej:

– Coś do picia?

– Nie trzeba...

– zaczął Marek, ale zaraz dodał:

– Chociaż szklanka wody by się przydała.

Podawała mu naczynie z zimną wodą, a on przyjął je z krótkim „dziękuję”.

– Podróż minęła spokojnie?

– zapytała, obserwując go uważnie.

– Nie jesteś głodny?

– Jadłem w samolocie

– odpowiedział, biorąc pierwszy łyk.

– Ale rzeczywiście, pić się chciało.

Postawił szklankę na biurku i spojrzał na nią, czekając na dalszy przebieg rozmowy.

Yael rozsiadła się nieco wygodniej, jakby oficjalny ton powoli spadał z jej ramion.

Popatrzyła na Marka uważnie

– w garniturze, zapiętym pod szyję, wyglądał, jakby przyszedł starać się o pracę w korporacji.

Zmierzyła jego wygląd spojrzeniem, ale nie zdecydowała się na komentarz.

– Nazywam się Yael Ben-Ari

– powiedziała spokojnie.

– Jestem twoim łącznikiem z Mossadem.

Wszystko, czego będziesz potrzebował, ma przejść przez moje ręce.

Marek lekko się zdziwił, ale nie odezwał się ani słowem.

– Tak

– dodała, pochylając się lekko w jego stronę

– nawet jeśli będziesz chciał zamówić sobie dziwkę do pokoju, też muszę o tym wiedzieć.

Jej twarz pozostała kamienna.

Nie było jasne, czy to żart, czy sprawdzian, czy może jedno i drugie.

Marek uniósł brwi, ale zachował milczenie.

Wiedział już, że każde słowo, które tu wypowie, zostanie odnotowane

– w pamięci Yael, jeśli nie w oficjalnym raporcie.

Yael przez chwilę jeszcze milczała, jakby obserwowała jego reakcję na swoje ostatnie słowa.

Gdy zobaczyła, że Marek zachował kamienną twarz, skinęła lekko głową.

– Wstań

– poleciła tonem, w którym nie było miejsca na sprzeciw.

Marek podniósł się powoli z krzesła.

– Odprowadzę cię do twojego pokoju

– dodała, wstając z fotela.

– Masz się odświeżyć po podróży, wykąpać, przebrać.

Jej ton był niemal wojskowy, jakby dawała rozkazy rekrutowi.

– Spotkamy się później

– zakończyła krótko, otwierając drzwi i ruszając korytarzem.

Marek skinął głową, nie komentując.

Wiedział już jedno

– pierwsze wrażenie zrobiła takie, że nikt nie miałby wątpliwości, kto tu rozdaje karty.

Przeszli korytarzem w ciszy.

Kroki odbijały się echem od surowych ścian, aż wreszcie zatrzymali się przy jednym z drzwi.

Yael wskazała je krótkim skinięciem głowy.

– Twój pokój – oznajmiła.

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, delikatny i ulotny, jakby wymknął się jej mimo woli.

Trwało to zaledwie ułamek sekundy, po czym znów była tą samą nieprzeniknioną kobietą.

– Odpocznij. Spotkamy się później.

– Jej głos znów był rzeczowy, pozbawiony emocji.

Marek skinął głową i otworzył drzwi, a ona odwróciła się na pięcie i odeszła korytarzem, nie oglądając się za siebie.

Nowa rzeczywistość Marka

Marek przekroczył próg i zamknął drzwi za sobą.

Rozejrzał się po pomieszczeniu

– skromnym do granic możliwości.

Na środku stało wąskie łóżko, obok niego mały taborecik i pojedyncza lampka.

Ani szafy, ani biurka, ani cegokolwiek, co przypominałoby komfort.

Gorzej niż w wojskowych koszarach

– pomyślał – ale bez cienia żalu.

Jako oficer wiedział, że narzekanie nie ma sensu. Surowe warunki były częścią gry.

Przyjął je z godnością, jak przyjmował każde wyzwanie, które stawiało przed nim życie w służbie.

Ułożył niewielką walizkę w kącie, zdjął marynarkę i powoli usiadł na łóżku, pozwalając, by pierwsze wrażenia opadły wraz z ciszą czterech pustych ścian.

Po blisko godzinie ciszy, którą Marek spędził na wpatrywaniu się w ścianę i układaniu myśli, do drzwi zapukał ktoś stanowczo.

Wstał, podszedł i otworzył.

W progu stała Yael.

- Zabierz wszystkie swoje rzeczy
- powiedziała ostrym, niemal wojskowym tonem.
- I idź za mną.

Marek spojrzał pytająco, ale jej chłodne spojrzenie nie pozostawiało miejsca na dyskusję.

- Nie zadawaj pytań
- dodała, po czym odwróciła się i ruszyła korytarzem.

Marek westchnął cicho, złapał walizkę i ruszył za nią, czując, że to dopiero początek gry, której reguł jeszcze nie znał.

Przeszli w milczeniu przez całą długość budynku.

Yael szła przodem, a Marek trzymał krok pół kroku za nią, niosąc swoją walizkę.

W końcu zatrzymała się przy drzwiach na końcu korytarza.

Otworzyła je bez słowa, weszła pierwsza i dopiero po chwili odwróciła się, zapraszając go gestem do środka.

Marek wszedł. Pomieszczenie było inne

– większe, jaśniejsze, wyposażone w prawdziwe łóżko, biurko, lampę i szafę.

Normalny pokój, w którym dało się mieszkać.

Yael podeszła do okna, przez chwilę patrzyła na nocne światła Tel Awiwu, a potem odwróciła się do niego i wyciągnęła dłoń.

– Witaj na miejscu

– powiedziała poważnie, a w jej głosie nie było już chłodu, tylko rzeczowość.

Marek uściśnął jej dłoń, a potem spytał:

– Co to miało znaczyć... tamten pierwszy pokój?

Na ustach Yael pojawił się cień uśmiechu.

– To była cela.

– Jej głos był spokojny, niemal bez emocji.

– Tam trzymamy terrorystów.

Marek uniósł brwi, ale nie skomentował.

Zrozumiał tylko jedno: jego prawdziwy test zaczął się dużo wcześniej, niż przypuszczał.

Marek nie odpowiedział.

Wymowne spojrzenie, którym obdarzył Yael, mówiło więcej niż słowa.

Kilka godzin później, już po kąpieli i krótkim odpoczynku, siedział na łóżku w swoim nowym pokoju.

Cisza sprzyjała myślom, a on analizował wydarzenia dnia.

Pierwsze spotkanie, pierwsze testy, pierwsze sygnały, że tutaj nic nie będzie oczywiste.

Wiedział jedno

– Mossad nie bawi się w pozory.

A on, chcąc nie chcąc, musiał się do tej gry dostosować.

Wieczorem ktoś zapukał do drzwi.

Marek podniósł się z łóżka i otworzył.

Przed nim stała Yael

– ale jakby nie ta sama, którą poznał wcześniej.

Tamta była chłodna, oficjalna, nieprzenikniona.

Teraz wyglądała inaczej: spokojniejsza, jakby zrzuciła z siebie ciężar łączniczki.

– Wejdź

– powiedział Marek, robiąc jej miejsce w drzwiach.

Kiedy przekroczyła próg, uśmiechnęła się do niego

– szczerze, ciepło, bez maski. Uśmiech, którego wcześniej nie widział i który zaskoczył go bardziej niż wszystkie jej wcześniejsze słowa.

Usiedli oboje na łóżku, tym razem w swobodniejszym stroju.

Marek w lekkiej koszuli,

Yael w prostym topie i spodniach

– bez tego wojskowego chłodu, którym przywitała go wcześniej.

– Jestem twoim oficerem prowadzącym

– zaczęła spokojnie.

– Mamy przed sobą wiele misji i sytuacji, w których nie będzie miejsca na błędy.

Dlatego kazano mi cię przetestować.

Marek słuchał uważnie, nie przerywając.

– Chciałam sprawdzić, czy można ci ufać

– mówiła dalej.

– Czy nie spanikujesz, czy nie zaczniesz histeryzować, czy przyjmiesz nawet surowe warunki z godnością.

Zrobiła krótką pauzę, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

– Gdybym zapytała cię wprost, twoja odpowiedź byłaby dokładnie taka, jakiej się spodziewałam. Sam rozumiesz...

Marek skinął głową powoli.

Rozumiał.

To był test

– prosty, ale bezlitosny.

Yael mówiła spokojnie, ale cały czas wpatrywała się w Marka, uważnie analizując każdą jego reakcję.

– Marku, mam nadzieję, że nasza współpraca będzie owocna i spokojna

– podsumowała po chwili ciszy.

Marek westchnął i odparł, lekko zirytowany, choć bez złośliwości:

– A możemy przejść na trochę mniej oficjalny ton?

Od samego przyjazdu serwujesz mi wojskowy styl i powiem szczerze, mam już tego dość.

Yael uniosła brwi, a potem uśmiechnęła się krótko, jakby czekała właśnie na taki moment.

– Dobrze

– powiedziała spokojnie.

– Dziś to ostatni dzień takich relacji.

Od jutra wszystko się zmieni.

Wstała, skierowała się do drzwi i bez pośpiechu wyszła, zostawiając Marka samego w ciszy.

Kolejny Poranek w Mossadzie

Kolejnego poranka Yael zapukała trzy razy energicznie do drzwi, po czym od razu weszła do środka.

Marek jeszcze leżał w łóżku, półprzykryty kołdrą.

Podniósł głowę z lekkim zaskoczeniem, gdy zobaczył ją w progu.

Yael bez słowa podeszła, usiadła na brzegu łóżka i rzuciła na kołdrę teczkę z dokumentami.

– Do przejrzenia

– oznajmiła spokojnym, rzeczowym tonem, bez wczorajszej wojskowej ostrości w głosie.

Marek uniósł się na łokciach, spojrzał na teczkę i zmrużył oczy.

– Co to jest?

– spytał krótko, z nutą podejrzliwości.

Yael, patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziała tym razem łagodniej, jakby faktycznie dotrzymała słowa danego poprzedniego wieczoru:

– Nasza pierwsza misja.

Chcę, żebyś wiedział, w co wchodzimy, zanim zaczniemy działać.

Yael oparła łokcie na kolanach, wskazując palcem na dokumenty.

– W środku masz pełny profil celu.

– Jej głos brzmiał spokojnie, jakby opowiadała o czymś codziennym, a nie o misji wywiadowczej.

– Za trzy dni będziemy w Jerozolimie.

Tam pojawi się człowiek, na którego od dawna polują nasi ludzie.

Marek sięgnął po teczkę i przekartkował pierwsze strony.

Czarno-białe zdjęcie, dane personalne, notatki z obserwacji.

– Informatorzy donoszą, że nie będzie sam

– ciągnęła Yael, uważnie patrząc na jego reakcję.

– Ma mieć ochronę.

Dwóch ludzi, może trzech.

Dlatego nie ryzykujemy samotnej akcji.

Usiadła trochę bliżej, kładąc dłoń na teczce.

– Pójdziemy razem.

Ja prowadzę, ty wspierasz.

Żadnych solowych popisów.

Na twarzy Marka pojawił się cień uśmiechu.

– Czyli mam nie grać bohatera?

– Dokładnie.

– Yael skinęła głową.

– Tu nie chodzi o brawurę.

Chodzi o to, żebyśmy oboje wrócili w jednym kawałku.

Yael, widząc że Marek wciąż przegląda dokumenty, nachyliła się lekko do przodu.

- To tylko skrót
- powiedziała spokojnie.
- Szczegóły omówimy później.

Teraz muszę wracać do siebie, mam jeszcze raport do zamknięcia.

Wstała z łóżka, poprawiając delikatnie marynarkę, którą zarzuciła w pośpiechu.

Zatrzymała się jednak w drzwiach i odwróciła do niego.

- Ogarnij się, zjedz coś, przygotuj.
- Jej ton był stanowczy, ale pozbawiony chłodu.
- Jak będziesz gotowy, przyjdź do mojego biura.

Wtedy rozłożymy misję na czynniki pierwsze.

Marek kiwnął głową, trzymając w dłoni teczkę.

- Rozumiem.
- I jeszcze jedno
- dodała, lekko unosząc brew.
- Nie przychodź z pustym żołądkiem.

Ta rozmowa trochę potrwa.

Po tych słowach wyszła, zostawiając

Marka samego z ciszą, papierami i poczuciem, że właśnie wciągnięto go w coś znacznie większego, niż mógł się spodziewać.

Kiedy drzwi zamknęły się za Yael,

Marek przez chwilę patrzył w ich stronę, jakby chciał zatrzymać w pamięci jej sylwetkę i ton głosu, w którym zabrzmiało coś więcej niż czysta służbowa rutyna.

Spojrzał na teczkę spoczywającą na kołdrze, przesunął dłonią po jej twardej okładce i cicho mruknął do siebie, z lekkim półuśmiechem:

– No to zabawę czas zacząć.

W pokoju zaległa cisza, a Marek poczuł znajome napięcie

– ten dreszcz, który zawsze pojawiał się przed początkiem nowej misji.

Marek jeszcze przez kilka minut leżał na łóżku, wpatrując się w sufit.

Myśli krążyły wokół Yael, dokumentów i słów, które padły przed chwilą.

W końcu westchnął, odłożył teczkę na stolik obok i poderwał się energicznie.

W łazience pozwolił sobie na chwilę zwykłej codzienności

– zimna woda na twarzy, szybkie ogolenie się, rutyna, która trzymała go w ryzach niezależnie od miejsca na świecie.

Spoglądając w lustro, widział twarz zmęczoną podróżą, ale z tym charakterystycznym błyskiem w oku, który zawsze pojawiał się przed akcją.

Po powrocie do pokoju otworzył swoją niewielką walizkę.

Garnitur odłożył na bok

– wiedział, że teraz nie czas na formalności.

Wybrał lekką, jasną koszulę z krótkim rękawem i wygodne spodnie.

Chciał poczuć swobodę, a nie duszący formalizm, którym zdążyła go przywitać pierwszego dnia Yael.

Usiadł jeszcze raz na brzegu łóżka, zapinając ostatni guzik koszuli, i spojrzał na teczkę czekającą na jego ruch.

Wiedział, że nim pójdzie do jej biura, będzie musiał wgryźć się w zawartość choćby powierzchownie.

Marek usiadł wygodnie na brzegu łóżka, otworzył teczkę i przerzucił kilka pierwszych stron.

Zdjęcia, notatki, schematy miejsc, nazwiska

– wszystko pobieżnie, bez zagłębiania się w szczegóły.

Wiedział, że i tak nic mu to nie da bez szerszego kontekstu, który dopiero usłyszy od Yael.

Po kilku minutach zatrzasnął teczkę, złapał ją pewnie w dłoń i wstał.

Jeszcze raz ogarnął wzrokiem skromny pokój

– pusty, bezosobowy, taki, który nie miał się stać domem

– i ruszył do drzwi.

Korytarz przywitał go znajomym chłodem klimatyzacji i pustką.

Kroki Marka odbijały się echem, gdy kierował się w stronę biura Yael.

Z każdym metrem czuł, jak rośnie napięcie

– wiedział, że teraz zaczyna się prawdziwa rozmowa, od której zależy nie tylko powodzenie misji, ale i ich wzajemne zaufanie.

Staął przed drzwiami z numerem, który zapamiętał z poprzedniego wieczoru.

Zapukał dwa razy, stanowczo.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jakby Yael już czekała.

Stała za nimi w idealnie uporządkowanym biurze

– biurko zasłane dokumentami, mapa na ścianie, kubek parującej kawy obok notatek.

Tym razem wyglądała mniej formalnie: włosy spięte w prosty kok, na sobie ciemna koszula, podwinięte rękawy.

– Wejdz

– powiedziała krótko, ale bez chłodu.

Marek wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Położył teczkę na biurku i usiadł naprzeciwko niej.

Yael przesunęła dokumenty w jego stronę i wskazała jedną z fotografii.

– To nasz cel

– zaczęła rzeczowo.

– Pojawi się w Jerozolimie za trzy dni.

Człowiek, którego znamy od dawna, ale nigdy nie udało się go złapać na gorącym uczynku.

Marek spojrzał na zdjęcie: mężczyzna około pięćdziesiątki, twarz twarda, zmęczona, oczy zimne jak stal.

– Problem w tym

– kontynuowała – że nie będzie sam.

Informatorzy donoszą, że przybędzie z ochroną.

Dwóch ludzi minimum.

Dlatego działamy razem.

Podsunała mu kolejne kartki, wskazując plany ulic i fragmenty notatek od wywiadu.

– Naszym zadaniem jest rozpoznać teren, potwierdzić obecność celu i przygotować moment zatrzymania.

Ty zajmujesz się logistyką i zabezpieczeniem. Ja prowadzę całość. Jasne zasady.

Marek skinął głową, ale milczał, czekając, aż powie coś więcej.

– Nie licz na improwizację

– dodała, patrząc mu w oczy.

– Tutaj każdy krok musi być przemyślany.

Marek wciągnął powietrze przez zęby, wpatrując się w mapę.

W końcu skinął dłonią na Yael, żeby podeszła bliżej.

– Spójrz tutaj

– powiedział, stukając palcem w niewielki znak na marginesie planu.

– Co to jest?

Wygląda na jakieś oznaczenie, ale nie ma w legendzie.

Yael nachyliła się nad stołem, ramię w ramię z Markiem, i zerknęła na miejsce, które wskazał. Jej brwi lekko się uniosły, a na ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Dobre oko –

odparła spokojnie.

– To nasz punkt obserwacyjny.

Miejsce, którego nie zaznaczamy w oficjalnych raportach, żeby nie wpadło w niepowołane ręce.

Tylko operatorzy w terenie wiedzą, gdzie dokładnie się znajduje.

Przesunęła palcem po mapie, kreśląc niewidzialną linię.

– Stąd będziemy mieć idealny widok na główne wejście i boczne uliczki.

A jeśli coś pójdzie nie tak, to jedyna szybka droga ewakuacji.

Marek kiwnął głową, zapamiętując szczegół.

– Czyli kluczowy punkt.

- Kluczowy
- potwierdziła, patrząc mu prosto w oczy.
- I od tego miejsca zaczniemy naszą misję.

Marek przesunął palcem po mapie, zatrzymując się na jednej z wąskich uliczek prowadzących w stronę kwartału starego miasta.

Zmarszczył brwi i spojrzał na Yael.

- Mam jedno pytanie
- odezwał się powoli.
- Dlaczego właśnie tutaj?
- stuknął palcem w oznaczone miejsce.
- To ślepa uliczka. Jeżeli coś pójdzie nie tak, będziemy w potrzasku.

Yael skrzyżowała ramiona i przez chwilę patrzyła na niego uważnie, jakby sprawdzała, czy naprawdę zauważył ten szczegół, czy tylko rzucił pytanie na próbę.

- Bo to miejsce, którego nikt się nie spodziewa
- odpowiedziała spokojnie.
- Wszyscy myślą, że ewakuacja musi prowadzić szeroką ulicą.

A tymczasem to właśnie ta ślepa alejka ma ukryte wyjście, prowadzące przez prywatny dziedziniec.

Dostępne tylko dla tych, którzy znają kod do furtki.

Marek uniósł lekko brwi.

– A my znamy ten kod?

Na twarzy Yael pojawił się cień uśmiechu.

– Jeszcze nie. Ale do dnia misji go poznamy.

W pokoju zapanowała cisza, w której Marek powoli kiwnął głową, akceptując jej odpowiedź.

Marek jeszcze przez chwilę wpatrywał się w mapę, palcem przesuwając po cienkich liniach uliczek.

Widać było, że coś chciał dodać, ale zatrzymał słowa w gardle.

Westchnął cicho i odchylił się na krzesło.

– Rozumiem

– powiedział krótko, kiwając głową.

Yael skinęła mu lekko, zadowolona, że nie ciągnął tematu.

Zwinęła kilka kartek, odłożyła je na bok i spojrzała na niego spokojnie.

– Dobrze, to mamy ustalone podstawy.

Reszta w terenie.

Marek odwrócił wzrok od mapy i przez moment zapatrzył się w okno, gdzie słońce przebijało się przez żaluzje, rysując ostre linie światła na biurku.

W jego spojrzeniu kryło się jednak coś więcej

– świadomość, że nie wszystko tu pasuje, że są szczegóły, których nie warto przemilczać.

Ale nie teraz.

Nie w tej chwili.

Zamknął teczkę, przesunął ją w stronę siebie i dodał tonem bardziej stanowczym:

– Zobaczymy w praktyce.

Yael odczytała to jako zgodę i już nie drążyła.

A Marek w duchu pomyślał tylko jedno:

„Oby nie przyszło mi żałować, że wtedy milczałem.”

Yael zebrała dokumenty ze stołu i wsunęła je do teczki, stukając palcami o blat, jakby chciała podkreślić, że spotkanie dobiegło końca.

– Na dziś wystarczy

– powiedziała spokojnie.

– Omówiliśmy najważniejsze punkty.

Resztę zostawimy na później.

Marek odchylił się w fotelu, przeciągnął lekko ramiona i spojrzał na nią z półuśmiechem.

– Skoro koniec pracy... może zabrałabyś mnie na jakieś zakupy?

– rzucił niby żartem, ale z cieniem powagi.

– Nie przywiozłem ze sobą całej garderoby, a garnitur to chyba kiepski strój na izraelskie słońce.

Yael uniosła brew, przez chwilę mierząc go spojrzeniem, jakby zastanawiała się, czy to próba skrócenia dystansu, czy zwykła potrzeba.

– Zakupy?

– powtórzyła chłodno, ale w kąciку jej ust drgnął ledwie widoczny uśmiech.

– Wierz mi, Mossad ma własne magazyny.

Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz.

Marek westchnął teatralnie, udając zawiedzionego.

– A już myślałem, że pokażesz mi trochę tego Tel Awiwu, o którym tyle czytałem.

– Jeszcze zdążysz

– odparła krótko, wstając od biurka.

– Na razie mieszkasz tutaj, pod naszym dachem.

To bezpieczniejsze.

Marek skinął głową, ale w jego oczach pojawił się błysk, który mówił więcej niż słowa: kiedyś i tak zapyta ponownie.

Wieczorem Marek wyszedł z pokoju, mając w planie przejść się po korytarzu i trochę rozprostować nogi.

Nie spodziewał się, że prawie od razu natknie się na Yael.

Szła szybkim krokiem, ale gdy go zobaczyła, zwolniła i zatrzymała się tuż obok.

– Chciałeś iść na zakupy, pamiętasz?

– rzuciła z lekkim uśmiechem, którego Marek jeszcze u niej nie widział.

– To chodź, zabiorę cię w jedno miejsce.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ruszyła korytarzem, dając mu jasny znak, by poszedł za nią.

Prowadziła go przez kolejne przejścia, aż dotarli do dużego pomieszczenia przypominającego magazyn.

Rzędy metalowych regałów ugiwały się pod ciężarem kartonów i pakunków.

Na wieszakach wisiały mundury, cywilne ubrania, a nawet garnitury

– wszystko starannie posegregowane.

– Mossad ma swoje „butiki”

– powiedziała ironicznie, wskazując na wieszaki.

– Nie Gucci, ale coś znajdziesz.

Marek rozejrzał się, a potem z lekkim rozbawieniem wyciągnął jedną z koszul.

– No proszę, a mówiłaś, że macie wszystko.

Kolor wojskowej szarości w trzech odcieniach.

– Przestań marudzić

– odparła, krzyżując ramiona.

– Wybierz coś lekkiego. Izrael to nie Warszawa, w garniturze się tu ugotujesz.

Marek przejrzał kilka półek i znalazł jasne spodnie oraz prostą koszulę, która faktycznie wyglądała praktycznie.

Przyłożył materiał do ramienia i zerknął na Yael.

– A co, będziesz moją stylistką?

Yael uśmiechnęła się półgębkiem.

– Raczej twoim zdrowym rozsądkiem.

Marek przeglądał kolejne półki, trzymając już w ręku wybraną koszulę i spodnie.

Nagle zatrzymał się przy regale z kartonami oznaczonymi numerami i spojrzał na Yael z udawaną powagą.

– A laptopa też tu trzymacie?

– rzucił półżartem.

– Bo jak tak dalej pójdzie, to będę musiał raporty pisać na serwetkach.

Yael parsknęła krótkim śmiechem, zaskakująco naturalnym jak na nią.

– Laptopa dostaniesz, kiedy będziesz go potrzebował.

I uwierz, nie takiego, jakim pisze się listy do przyjaciół w Polsce.

Marek uniósł brew.

– Czyli kontrola na całej linii?

– Oczywiście

– odparła rzeczowo, ale z lekkim błyskiem w oku.

– Mossad nie rozdaje zabawek, których nie potrafi pilnować.

Marek uśmiechnął się krzywo, odkładając koszulę na ramię.

– To jeszcze powiedz mi, czy przynajmniej szczoteczkę do zębów mogę mieć własną, czy też macie wersję z GPS-em?

Yael spojrzała na niego chłodno przez sekundę, po czym kącik jej ust drgnął w uśmiechu.

– Nie kusiłabym losu.

Oboje ruszyli w stronę wyjścia z magazynu, a atmosfera między nimi była wyraźnie lżejsza niż w jej biurze kilka godzin wcześniej.

Wracali korytarzem, ich kroki odbijały się echem od betonowych ścian.

Yael niosła teczkę pod pachą,

Marek zaś miał na ramieniu wybrane ubrania.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż w końcu ona zerknęła na niego kątem oka.

– Po co ci tak właściwie ten laptop?

– zapytała, tonem niby obojętnym, ale z nutą ciekawości.

Marek wzruszył ramionami.

– Chciałem przejrzeć pocztę.

Zobaczyć, co tam w świecie.

Yael zatrzymała się na moment i uniosła brew.

– Na pewno pocztę?

– spytała z lekkim sarkazmem.

– A może raczej korespondencję od żony?

Marek spojrzał na nią z przekąsem.

– Byłabyś rozczarowana.

Od lat nie mam żony, a na maile od przełożonych w Warszawie i tak nie mogę odpowiadać.

Yael uśmiechnęła się półgębkiem, ruszając dalej.

– Dobrze wiedzieć.

Bo jeszcze pomyślałabym, że ukrywasz pod kołdrą listy miłosne.

Marek parsknął krótkim śmiechem.

– Uspokój się, Shira.

Jedyna kołdra, pod którą teraz śpię, to ta, którą mi tu wydaliście.

I ona nie skrywa żadnych sekretów.

Przez chwilę szli dalej w ciszy, ale tym razem była to cisza lżejsza

– jakby po raz pierwszy od początku ich znajomości mogli mówić do siebie jak ludzie, a nie tylko agenci.

Kiedy zbliżali się do pokoju Marka, Yael zwolniła kroku i zerknęła na niego z boku.

– Wiesz – zaczęła spokojnie, z lekkim błyskiem w oku

– z tymi twoimi pytaniami i komentarzami... zaczynam się zastanawiać, czy nie powinieneś jednak dostać drugiego pokoju, w izolatce.

Marek uśmiechnął się pod nosem, od razu podchwytyjąc żart.

– Przynajmniej miałbym spokój od twoich sarkazmów.

– Nie licz na to

– odparła szybko, zatrzymując się przed jego drzwiami.

– Nawet tam bym cię znalazła.

Na moment ich spojrzenia się spotkały

– poważne, ale z nutą rozbawienia, która wcześniej była nie do pomyślenia.

Yael skinęła głową w stronę drzwi.

– Odpocznij. Jutro czeka nas dużo pracy.

Marek przekręcił klamkę, ale zanim wszedł, rzucił jeszcze przez ramię:

– Oby ta twoja „duża praca” nie obejmowała kolejnych przymiarek do munduru Mossadu.

– Zobaczymy

– odparła krótko, odchodząc korytarzem.

Tym razem na jej ustach został lekki uśmiech.

Dzień Misji

Marek wrócił do swojego pokoju.

Z braku laptopa i telefonu położył się na łóżku na wznak.

Myślami wrócił do całego dnia

– spotkanie z Yael, analiza map, przekomarzanie w magazynie.

Czuł, że choć minęło dopiero kilka dni, zaczyna się tu odnajdywać.

Powoli łapał klimat tego miejsca, jakby świat Mossadu stawał się jego nową codziennością.

Leżał jeszcze chwilę, wpatrując się w sufit, aż sen w końcu go zmorzył.

Wczesnym porankiem obudziło go energiczne pukanie do drzwi.

Zerwał się, przecierając oczy, i otworzył.

W progu stała Yael.

Marek był w samych spodenkach i obcisłej koszulce, którą poprzedniego wieczoru znalazł w magazynie.

Yael spojrzała na niego krótko, bez komentarza, po czym przesunęła go lekko dłonią, żeby mógł zrobić jej miejsce.

Weszła do środka i usiadła w fotelu obok okna.

– Przygotuj się

– powiedziała rzeczowo.

– Ruszamy.

Marek spojrzał na nią zdziwiony.

– Ale... misja miała być dopiero jutro.

Yael skrzyżowała nogi, oparła rękę na podłokietniku fotela i popatrzyła na niego uważnie.

– Wszystko się skomplikowało.

Plan się zmienił.

Wyjeżdżamy już dziś, dlatego pośpiesz się.

Wstała, nie czekając na jego reakcję, i ruszyła do drzwi.

– Spotkamy się w moim biurze

– rzuciła na odchodne i zniknęła na korytarzu.

Marek przez chwilę stał w ciszy, słysząc jeszcze echo jej kroków.

Odetchnął głęboko i spojrzał na teczkę leżącą na stoliku.

Liczył, że będzie miał jeszcze czas, by przejrzeć wszystko dokładniej.

Teraz wiedział, że tego czasu już nie ma.

– No pięknie... –

mruknął pod nosem.

– Dopiero zaczynam się tu czuć jak w domu, a już każą się pakować.

W ruchach Marka pojawiła się automatyczna rutyna: szybki prysznic, zimna woda na twarz, krótkie ogolenie.

Kilka minut później był już w ubraniu

– spodnie i jasna koszula, którą wybrał poprzedniego wieczoru.

Zapiął zegarek, sprawdził kieszenie, chwycił teczkę i skierował się do drzwi.

Korytarz był niemal pusty.

Kroki odbijały się echem od ścian, a w oddali słychać było przyspieszone głosy i krótkie komendy.

Atmosfera wyraźnie zgęstniała

– coś wisiało w powietrzu.

W końcu dotarł przed znajome drzwi.

Unióśł dłoń i zapukał stanowczo.

Marek zapukał trzy razy.

Zza drzwi dobiegł spokojny, ale stanowczy głos Yael:

– Wejdź.

Otworzył i wszedł do środka.

Biuro wyglądało tak samo jak poprzedniego dnia

– uporządkowane, zimne, pachnące świeżą kawą

– ale atmosfera była zupełnie inna.

Przy biurku siedziała Yael, a obok niej, po lewej i prawej stronie, dwóch mężczyzn.

Oboje w cywilnych ubraniach, ale ich postawa i spojrzenia nie pozostawiały wątpliwości

– to byli oficerowie wywiadu.

Marek poczuł znajome napięcie w powietrzu.

Jeszcze przed chwilą śmiał się z Yael w korytarzu, a teraz znów znalazł się w środku gry, gdzie każdy gest i każde słowo miało znaczenie.

Podszedł bliżej. Yael wskazała mu krzesło naprzeciwko biurka.

– Usiądź.

Kiedy Marek usiadł, jeden z oficerów przesunął w jego stronę cienką teczkę.

– Sytuacja zmieniła się szybciej, niż zakładaliśmy

– powiedział chłodno, wyraźnie z amerykańskim akcentem.

– Cel pojawi się w Jerozolimie już dziś wieczorem.

Drugi dodał:

– Ochrona liczniejsza niż przewidywaliśmy.

Czterech ludzi, wszyscy uzbrojeni.

Marek otworzył teczkę i rzucił okiem na zdjęcia.

Zdjęcia były świeże, widać było, że pochodzą sprzed kilkunastu godzin.

Yael nachyliła się do przodu, jej spojrzenie stało się ostre.

– Dlatego nie mamy czasu.

Za godzinę wyjeżdżamy.

Musimy być tam przed nimi i przygotować się do obserwacji.

Zrobiła krótką pauzę, a potem dodała tonem, który zabrzmiał bardziej oficjalnie niż kiedykolwiek:

– To twoja pierwsza akcja z nami, Marek.

Będziesz w cieniu.

Nie wychylasz się, nie improwizujesz.

Masz robić dokładnie to, co powiem.

Marek uniósł wzrok znad teczki i spotkał jej spojrzenie.

W jej oczach nie było miejsca na dyskusję.

– Jasne zasady

– powiedział powoli.

– Rozumiem.

Jeden z oficerów skinął głową.

– Dobrze. Spotykamy się przy wyjeździe.

Obaj mężczyźni podnieśli się z krzeseł i wyszli, zostawiając Marka sam na sam z Yael.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwało dopiero jej westchnienie.

– I znowu wracamy do tonów służbowych

– mruknęła półgłosem, odchylając się na oparcie fotela.

– Ale taka jest cena tej roboty.

Drzwi zamknęły się za dwójką oficerów, a w biurze zapadła cisza.

Marek wciąż trzymał teczkę w dłoniach, ale nie patrzył na dokumenty

– tylko na Yael, która odchyliła się na fotelu i na chwilę przymknęła oczy.

– Powiedz mi szczerze

– odezwał się Marek, przełamując ciszę.

– Czy to standard, że wszystko zmienia się w ostatniej chwili, czy po prostu mam pecha przy pierwszej akcji?

Yael otworzyła oczy i spojrzała na niego spokojnie.

– W Mossadzie standardem jest, że nie ma standardu.

Tu nic nie przebiega zgodnie z planem.

Marek parsknął cicho pod nosem.

– To dobrze.

W takim razie pasuję do tego miejsca bardziej, niż myślałem.

Yael uniosła brew, a w jej spojrzeniu pojawiła się iskra rozbawienia.

– Może tak.

Ale pamiętaj, Marku, jedno: improwizacja to broń ostateczna, a nie twoja codzienna metoda.

– Zapiszę to sobie na czole

– odpowiedział półżartem.

Na moment oboje pozwolili sobie na cień uśmiechu, ale Yael szybko znów przyjęła poważny ton.

– Za pół godziny zbiórka przy samochodach.

Nie spóźnij się.

Marek kiwnął głową.

– Będę gotów.

Na dziedzińcu ośrodka czekały już dwa czarne SUV-y.

Silniki pracowały cicho, reflektory rozcinały poranny półmrok.

Dwóch agentów stało przy samochodach, sprawdzając sprzęt i broń.

Marek pojawił się punktualnie, z teczką pod pachą i w lekkiej koszuli.

Rozejrzał się uważnie

– w powietrzu czuło się napięcie.

To już nie była odprawa w biurze, tylko realne wejście w grę.

Yael wyszła z budynku kilka minut później.

Miała na sobie ciemne spodnie i dopasowaną kurtkę, włosy spięte wysoko.

Wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać oficer prowadząca

– pewnie i profesjonalnie.

- Jedziemy jednym autem
- powiedziała krótko, wskazując mu tylne drzwi SUV-a.
- Będziesz ze mną i Millerem.

Marek wsiadł do środka, a chwilę później obok niego usiadł Amerykanin – ten sam, którego widział w biurze.

David Miller rzucił mu szybkie spojrzenie i skinął głową, bez zbędnych słów.

Samochód ruszył.

Droga do Jerozolimy wiodła serpentynami, raz wśród pustkowi, raz przez gęste zabudowania.

Wnętrze auta wypełniała cisza, przerywana tylko krótkimi komunikatami radiowymi.

Yael siedziała z przodu, wzrok miała utkwiony w mapę na tablecie.

Od czasu do czasu podawała kierowcy krótkie wskazówki. Miller rozsiadł się swobodnie, ale Marek czuł, że ten człowiek obserwuje go ukradkiem

- testuje, ocenia.

Po blisko godzinie jazdy SUV zatrzymał się w bocznej uliczce Jerozolimy.

Ulica była jeszcze ospała, miasto budziło się do życia

- sprzedawcy rozstawiali stoiska, a ludzie spieszyli się do pracy.

Yael odwróciła się do Marka i podała mu krótkofalówkę.

- Od tej chwili jesteśmy w trybie operacyjnym.

– Jej głos był spokojny, ale stanowczy.

– Twój sektor to boczne wejście do dziedzińca.

Obserwujesz, zgłaszasz każdy ruch.

Nie podejmujesz sam decyzji.

Marek przyjął urządzenie i skinął głową.

– Rozumiem.

– To zaczynamy

– dodał Miller, uśmiechając się krzywo.

– Witamy w prawdziwej robocie, Orzeł.

Trójka agentów wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę wskazanego punktu.

Atmosfera miasta, zapach przypraw i odgłosy porannego gwaru mieszały się z napięciem misji.

Marek zajął pozycję przy bocznej uliczce, lekko przysłoniętej ceglanym murem.

Wyciągnął z kieszeni niewielką lornetkę i oparł się o ścianę.

W jego uchu odezwał się głos Yael:

– Obserwacja zaczęta.

Czekamy na cel.

Marek poprawił uchwyt i przetrął dłonią kark.

Wiedział, że to dopiero początek, ale czuł też, że dzisiejszy dzień może zaważyć na tym, czy Mossad uzna go za partnera...

Czy tylko gościa do odstawienia po wszystkim.

Marek stał oparty o chłodny mur bocznej uliczki.

W rękę trzymał lornetkę, a przez słuchawkę słyszał spokojny, wyćwiczony głos Yael:

– Obserwacja rozpoczęta.

Cel powinien pojawić się w ciągu kwadransa.

Ulica przed nim powoli się zagęszczała

– handlarze rozstawiali stragany, dzieci biegły z plecakami do szkół, słychać było nawoływania sprzedawców i klaksony samochodów.

Marek przesuwiał wzrokiem po tłumie, starając się wychwycić coś więcej niż tylko codzienny chaos.

I wtedy zauważył – trzech mężczyzn, którzy wyglądali inaczej niż reszta.

Wszyscy w podobnych, ciemnych kurtkach, mimo porannego ciepła.

Poruszali się razem, ale nie rozmawiali.

Ich spojrzenia omiały otoczenie z chłodną uwagą.

– Widzę ochronę

– wyszeptał do mikrofonu.

– Trzech, sektor boczny, od strony bazaru.

Chwilę później jego podejrzenia potwierdziły się

– za nimi pojawił się mężczyzna ze zdjęć.

Twarz poznawalna od razu: siwiejące włosy, szorstki profil, spojrzenie zimne i pewne.

To był ich cel.

Yael odezwała się szybko:

– Potwierdzam wzrokowo.

To on.

Miller wtrącił z drugiego sektora:

– Powinno być czterech ochroniarzy.

Widzę trzech.

Marek, masz coś jeszcze?

Marek znów uniósł lornetkę, przesuwając wzrokiem po liniach dachów.

I wtedy dostrzegł

– na dachu pobliskiego budynku, przy wentylatorach klimatyzacji, sylwetkę z lunetą karabinu.

– Mam czwartego

– powiedział krótko, ale stanowczo.

– Snajper na dachu, sektor północny.

Zapadła chwila ciszy w eterze.

– Dobre oko

– przyznała Yael. Jej głos brzmiał twardo, ale Marek wyczuł, że to pierwszy raz, gdy naprawdę doceniła jego uwagę.

– Zmieniamy pozycje. Miller, obejdiesz od południa.

Orzeł, zostań tam, masz najlepszy widok na górę.

Marek poczuł znajomy dreszcz adrenaliny.

To był ten moment, dla którego żył

– sytuacja, w której liczyła się zimna krew i czujność.

Wiedział też, że właśnie zrobił coś, co nie umknęło uwadze Yael.

Cel ruszył w stronę bocznej uliczki, a jego ochrona rozdzieliła się:

Dwóch z przodu, jeden za nim, snajper na dachu.

– To jest moment

– rzuciła Yael przez radio.

– Podejście ostrożne.

Miller wszedł w tłum od strony bazaru, Marek został przy murze, obserwując wszystko z boku.

Czuł, jak każdy ruch ochrony układa się w schemat

– klasyczna taktyka osłony VIP-a.

Wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego.

Jeden z ochroniarzy z przodu zwolnił i zaczął rozglądać się podejrzliwie.

Kierował spojrzenie dokładnie w stronę, gdzie krył się Marek.

- Mamy problem
- wyszeptał Marek.
- Jeden z nich mnie zauważył.
- Spokojnie
- odpowiedziała Yael.
- Nie ruszaj się.

Ochroniarz zrobił jeszcze kilka kroków w stronę muru...

i wtedy Miller zagadał do handlarza przy stoisku, celowo głośno, odwracając uwagę.

Mężczyzna zawahał się, zerknął w stronę bazaru i poszedł dalej.

- Dobrze wybiecie
- mruknął Marek.
- Koncentruj się
- przypomniała Yael.

Kilka minut później cel dotarł do kawiarni przy wąskiej uliczce.

To było miejsce spotkania, o którym mówiły raporty.

Ochrona rozstawiła się zgodnie z przewidywaniami, a snajper zmienił pozycję.

Yael dała krótki sygnał ręką Millerowi, a potem do Marka:

– Ruszamy.

Podejście było szybkie, precyzyjne.

Dwóch ludzi Yael wyeliminowało w tłumie bezszelestnie

– uśpione pistolety, błyskawiczne ruchy.

Miller podszedł od tyłu, a Marek odciął boczną drogę.

Cel zdążył tylko spojrzeć w ich stronę, gdy Yael przycisnęła mu broń do pleców.

– Mossad. Nie rób głupstw.

Ochroniarz z tyłu spróbował sięgnąć po broń, ale Marek był szybszy

– krótki cios w żebra, błyskawiczne rozbrojenie.

Mężczyzna upadł, niezdolny do dalszej walki.

Snajper na dachu?

Zanim zdążył zareagować, w jego stronę poleciał sygnał od wsparcia, które już zajęło pozycję.

– Cel zabezpieczony

– powiedziała Yael do mikrofonu.

Miller uśmiechnął się krzywo.

– I to bez fajerwerków. Cud.

Marek spojrzał na Yael.

W jej oczach po raz pierwszy zobaczył coś, co mogło być uznaniem

– może nawet dumą.

– Dobra robota

– powiedziała krótko, po czym pchnęła zatrzymanego w stronę samochodu czekającego przy bocznej uliczce.

SUV-y wróciły do ośrodka późnym popołudniem.

Słońce nad Tel Awiwem chyliło się już ku zachodowi, a w powietrzu czuć było zmęczenie

– nie tylko fizyczne, ale i psychiczne po wielu godzinach napięcia.

Cel został przekazany dalej, zabrany przez specjalny zespół Mossadu.

Dla Marka i reszty akcja była skończona.

W biurze, które jeszcze tego samego ranka widział jako miejsce chłodnej odprawy, panowała teraz zupełnie inna atmosfera.

Miller, siedzący w rogu z kubkiem kawy, rzucił do Marka półżartem:

– Jak na pierwszy raz z nami, nie spaprałeś roboty.

Prawie zaczynam cię lubić.

Marek uniósł brew.

– „Prawie” to już i tak duży komplement z ust Amerykanina.

Miller parsknął śmiechem i wyszedł, zostawiając ich samych.

Yael siedziała przy biurku, ale tym razem nie wyglądała jak chłodna urzędniczka.

Była zmęczona

– lekko rozwichrzone włosy, kurtka zarzucona na krzesło, w dłoni butelka wody.

Patrzyła na Marka uważnie, przez chwilę nic nie mówiąc.

– Dobra robota

– powiedziała w końcu, powtarzając to, co rzuciła mu jeszcze w terenie.

– Widziałeś więcej, niż się spodziewałam.

Ten snajper na dachu... mogło się skończyć bardzo źle.

Marek wzruszył ramionami.

– To nie instynkt.

Po prostu wiem, gdzie lubią się chować.

Yael uśmiechnęła się półgębkiem.

– Skromny. Ale skuteczny.

Zapadła krótka cisza, którą tym razem ona przerwała.

– Marek...

– zaczęła spokojniej niż zwykle.

– Wiesz, że tu nie jesteś turystą.

Każdy twój ruch jest oceniany.

Ale...

- zawahała się na moment
- dziś pokazałeś, że można na ciebie liczyć.

Marek spojrzał na nią uważnie.

- To dobrze, bo mam zamiar przeżyć niejedną misję.

Ich spojrzenia spotkały się, bez uśmiechu, bez żartów

- po raz pierwszy było w nich coś, co przypominało czysty zawodowy respekt.

Yael odchyliła się w fotelu i wskazała mu drzwi.

- Idź odpocząć.

Ale zapamiętaj jedno

- to był dopiero początek.

Marek skinął głową i ruszył do wyjścia.

Gdy zamykał za sobą drzwi, usłyszał jeszcze jej ciche słowa, wypowiedziane bardziej do siebie niż do niego:

- Dobrze, że tu jesteś.

Następnego dnia ośrodek pracował jak zawsze, ale dla Marka czas jakby zwolnił.

Po wczorajszym napięciu i adrenalinie dzisiejszy poranek wydawał się niemal nienaturalnie cichy.

Zjadł śniadanie w stołówce

– prosta jajecznica, kawa, kromka chleba.

Siedział sam przy stole, obserwując ludzi wokół.

Agenci, analitycy, technicy

– każdy miał swoje sprawy, swoje spojrzenia, swoje niedopowiedzenia.

Mossad przypominał mu dobrze naoliwioną maszynę, gdzie każdy trybik wiedział, co robić.

Gdy wychodził, na korytarzu minął Yael.

Zatrzymała się na moment i spojrzała na niego tym swoim charakterystycznym, badawczym wzrokiem.

– Jak się czujesz?

– zapytała, zaskakująco neutralnie, bez służbowego tonu.

– Jak ktoś, kto wczoraj prawie dostał kulą od snajpera

– odparł sucho, ale z lekkim uśmiechem.

– A ty?

– Zmęczona

– przyznała krótko.

– Ale to normalne.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, aż w końcu Yael skinęła głową w stronę wyjścia.

– Chodź. Potrzebuję też chwili oddechu.

Wyszli razem na dziedziniec ośrodka.

Powietrze pachniało solą i kurzem, a w oddali słychać było gwar Tel Awiwu.

Usiadła na ławce pod niskim drzewem, a Marek obok niej.

– Wiesz

– zaczęła po chwili

– rzadko zdarza się, żeby ktoś tak szybko wpasował się w nasze działania.

Mossad nie ufa nikomu z zewnątrz.

Ty... zrobiłeś dobre wrażenie.

Marek spojrzał przed siebie.

– A ja zaczynam się tu dobrze czuć.

Choć brakuje mi pewnej rzeczy.

– Czego?

– uniosła brew.

– Normalności.

– Wzruszył ramionami.

– Własnego mieszkania, kawałka przestrzeni, zwykłej kawy w zwykłej kawiarni.

Yael zamyśliła się na moment, a potem spojrzała na niego poważnie.

– Na razie zostajesz tutaj.

To bezpieczniejsze. Ale...

– zawahała się, co u niej rzadko się zdarzało

– może kiedyś uda się to zmienić.

Marek kiwnął głową, nie naciskając.

Czuł, że ta rozmowa była czymś więcej niż zwykłą wymianą słów

– pierwszym małym krokiem ku temu, by Yael widziała w nim nie tylko „Orla z Polski”, ale też człowieka, któremu można zaufać.

Rozdział 4

Misja Polsko - Izrealska

Po paru tygodniach w Mossadzie Marek coraz bardziej się aklimatyzował.

Poranki nie wydawały mu się już obce, znał rytm ośrodka, wiedział, gdzie kawa smakuje najlepiej i o której godzinie korytarze pustoszeją.

Czuł się pewniej, jakby powoli stawał się częścią tej zamkniętej rzeczywistości.

Tego dnia, gdy wychodził z łazienki w samej bieliźnie, nie spodziewał się, że będzie miał gościa.

A jednak.

Yael siedziała w fotelu przy oknie, nogę założoną na nogę, ręce splecione na kolanie.

Widać było, że czekała już chwilę, spokojna i jak zwykle opanowana.

– Do cholery...

– mruknął Marek, łapiąc ręcznik z oparcia krzesła.

– Nie słyszałaś o pukaniu?

Yael wzruszyła ramionami, zupełnie niewzruszona jego zakłopotaniem.

– Jakbym pukała, zdążyłbyś uciec.

Na stolik kawowy obok fotela rzuciła teczkę.

Marek od razu zauważył napis na okładce: „Ściśle Tajne”

– po polsku.

Zamarł, patrząc raz na teczkę, raz na nią.

– Co to jest?

Yael skinęła głową w stronę dokumentów.

– Spójrz.

Marek podszedł powoli, otworzył teczkę i od razu poczuł, jak ściska mu się żołądek.

Na pierwszej stronie widniała fotografia mężczyzny

– schludnie ubrany, twarz typowego biznesmena.

Pod spodem podpis: Janusz Radecki, obywatel Polski.

A w raportach

– zarzuty: handel bronią, kontakty z organizacjami terrorystycznymi, ukrywa się na terenie Izraela.

Marek uniósł wzrok na Yael.

– Polak?

– Twój człowiek

– potwierdziła chłodno.

– A teraz nasz problem.

Po chwili wymownej ciszy telefon w kieszeni Yael zawibrował krótko.

Odebrała bez słowa.

– Yael, zapraszam do mnie...

– rozległ się niski, stanowczy męski głos.

Odruchowo wyprostowała się niemal na baczność.

– Tak jest

– odpowiedziała i rozłączyła połączenie.

Spojrzała na Marka z powagą, której wcześniej jeszcze u niej nie widział.

– Ubieraj się.

I chodź.

Musimy iść.

Marek nie zadawał pytań.

Wciągnął spodnie, koszulę, zapiał zegarek na rękę.

Yael czekała już przy drzwiach, a gdy wyszedł, ruszyła przodem szybkim, zdecydowanym krokiem.

Korytarze wydawały się inne niż zwykle

– mniej znajome, bardziej surowe.

Skrećali kilka razy, mijali kolejne zabezpieczenia, aż w końcu dotarli do miejsca, które od razu różniło się od reszty.

Przed nimi znajdowały się masywne, ciemne drzwi, inne niż wszystkie, jakie Marek widział wcześniej w ośrodku.

Lśniące, ciężkie, z prostą, złotą tabliczką.

Dyrektor Mossadu

Yael zatrzymała się, poprawiła marynarkę i spojrzała na Marka krótko, jakby chciała upewnić się, że jest gotowy.

Potem zapukała dwa razy.

Za drzwiami odezwał się ten sam niski głos:

– Proszę.

Drzwi otworzyły się powoli, a Marek po raz pierwszy miał zobaczyć twarz człowieka, o którym słyszał tylko w raportach i legendach.

Najpierw do środka weszła Yael, zaraz za nią Marek.

Stanęli obok siebie, naprzeciwko postaci dyrektora.

Gabinet różnił się od wszystkich innych, które Marek dotąd widział

– ciężkie zasłony, masywne biurko z ciemnego drewna, na ścianach fotografie i mapy, a w powietrzu wyczuwalny był chłód hierarchii i władzy.

Dyrektor uniósł wzrok znad dokumentów i sięgnął po kolejną teczkę

– wyraźnie grubszą niż ta, którą wcześniej miała Yael.

– To jest pełna dokumentacja

– powiedział, zwracając się bezpośrednio do niej.

– Proszę się z nią zapoznać i wprowadzić swojego kolegę.

Marek stał lekko wycofany za Yael, obserwując rozmowę w ciszy.

Nie miał zamiaru się odzywać

– wiedział, że to nie jego rola.

Kiedy dyrektor skończył krótką wymianę zdań z Yael, przeniósł spojrzenie na Marka.

– Podejdź bliżej.

Marek zrobił krok naprzód, zrównując się z Yael.

– To pan jest Nowicki?

– spytał niskim, stanowczym głosem.

– Marek Nowicki?

– Tak jest

– odpowiedział krótko Marek, starając się zachować spokój.

Dyrektor oparł się wygodnie o fotel, mierząc go wzrokiem, który bardziej przypominał skaner niż ludzkie spojrzenie.

– Znam pański życiorys.

Żołnierz, oficer Agencji Wywiadu, kilka operacji, o których oficjalnie nikt nigdy nie napisze.

– Zrobił pauzę.

– Ale to mnie nie interesuje.

Marek uniósł lekko brodę, czekając na dalsze słowa.

– Interesuje mnie jedno

– ciągnął dyrektor, pochylając się lekko do przodu.

– Czy w tej chwili jest pan lojalny wobec swojego kraju...

Czy wobec zadania, które przed panem stoi?

Yael drgnęła nieznacznie, ale milczała.

Marek poczuł ciężar pytania.

– Moja lojalność

– odparł spokojnie

– jest tam, gdzie leży obowiązek.

A w tej chwili obowiązkiem jest ta misja.

Zapadła krótka cisza. Dyrektor długo patrzył mu w oczy, jakby ważył każde słowo.

Wreszcie kiwnął głową.

– Dobrze.

– Przesunął teczkę w stronę Yael.

– To pańska odpowiedzialność

– powiedział do niej.

– Proszę go wprowadzić we wszystkie szczegóły.

Następnie zwrócił się znów do Marka.

– A pan, Nowicki, niech pamięta

– tu nie ma miejsca na sentymenty.

Radecki to Polak, ale Polak, który sprzedaje broń ludziom, którzy potem zabijają naszych żołnierzy i cywilów.

Dla nas to nie obywatel, tylko wróg.

Marek skinął głową.

– Rozumiem.

Dyrektor wskazał ręką drzwi.

– To wszystko.

Yael odwróciła się pierwsza, a Marek podążył za nią.

Jeszcze zanim wyszli, czuł na sobie spojrzenie dyrektora

– ciężkie, zimne, takie, które mówiło jasno:

„Dopuszciliśmy cię, ale każdy twój krok będzie obserwowany.”

Kiedy drzwi gabinetu dyrektora zamknęły się za nimi ciężkim kliknięciem,

Marek poczuł, jak napięcie wreszcie nieco odpuszcza.

Szli obok siebie korytarzem w milczeniu, kroki odbijały się głucho od marmurowej posadzki.

Yael pierwsza się odezwała, nie patrząc na niego, tylko przed siebie:

– Teraz już wiesz, z kim mamy do czynienia.

Marek prychnął cicho pod nosem.

– Wiem jedno.

Z dyrektorem Mossadu lepiej nie zgrywać bohatera.

Yael spojrzała na niego kątem oka i uniosła kącik ust.

– Dobrze, że to rozumiesz.

Większość ludzi na twoim miejscu próbowałaby się popisać.

– Ja swoje popisy mam już za sobą

– odparł sucho.

– Wiem, że to tutaj nie przejdzie.

Zatrzymali się na chwilę przy oknie wychodzącym na dziedziniec ośrodka.

Marek zerknął na teczkę, którą Yael trzymała pod pachą.

– Radecki

– powiedział cicho, jakby smakował to nazwisko.

– Nigdy bym nie pomyślał, że polski handlarz będzie robił takie interesy tutaj.

– Nie idealizuj

– odpowiedziała krótko.

– Pieniądz nie zna narodowości.

– Może

– przyznał Marek.

– Ale dla mnie to i tak cholernie dziwne.

Przez chwilę milczeli.

Potem Yael westchnęła i ruszyła dalej.

– Chodź.

Muszę cię wprowadzić we wszystko.

A dyrektor dał mi jasno do zrozumienia, że teraz ty jesteś częścią tej operacji.

Marek kiwnął głową i dogonił ją.

Wiedział jedno

– od tej chwili gra robiła się o wiele poważniejsza.

Po krótkiej wymianie zdań ruszyli korytarzem w stronę biura Yael.

Szybkie, zdecydowane kroki odbijały się od ścian.

W końcu zatrzymali się przed drzwiami, a kiedy weszli do środka, atmosfera od razu złagodniała

– to nie był już gabinet dyrektora, tylko znane miejsce, w którym Marek czuł się pewniej.

Yael rzuciła dokumenty na biurko, a sama usiadła na swoim miejscu.

Marek zajął fotel naprzeciwko niej.

Chwycił teczkę, przesunął dłonią po szorstkiej okładce i zaczął wyciągać kolejne arkusze.

Najpierw zdjęcia

– Radecki w eleganckim garniturze, wychodzący z czarnego mercedesa, gdzieś na parkingu podziemnym.

Potem notatki: daty, numery telefonów, miejsca spotkań.

Dalej

– listy transakcji, zapisane skrótami i cyframi, które jednak jednoznacznie wskazywały na broń, a nie na zwykły handel.

Marek wertował kolejne strony w ciszy.

Im głębiej zagłębiał się w papiery, tym mocniej czuł ciężar sytuacji.

W końcu opuścił kartki i spojrzał na Yael.

– To jest grubsza sprawa, niż myślałem.

– Podniósł jedno ze zdjęć.

– Radecki nie robi tego sam.

Tu są kontakty z ludźmi, o których nawet w Polsce niewielu słyszało.

Yael skinęła głową, splatając dłonie na biurku.

– Dlatego Warszawa zwróciła się do nas.

Sami nie mogli tego rozegrać na naszym terenie.

Chcą, żebyśmy my go zdjeli.

A ty masz być łącznikiem

– ktoś, kto zna mentalność Polaka, kto będzie w stanie przewidzieć jego ruchy.

Marek odłożył zdjęcia na stół i oparł się na oparciu fotela.

– Łącznikiem...

– powtórzył półgłosem.

– Albo człowiekiem między młotem a kowadłem.

Yael patrzyła na niego spokojnie.

– To też.

Marek odłożył zdjęcia Radeckiego na biurko i westchnął.

– Muszę skontaktować się z Warszawą

– powiedział rzeczowo.

Yael nie odpowiedziała od razu.

Sięgnęła do dolnej szuflady biurka, otworzyła ją powoli i wyciągnęła znajome, czarne etui.

Marek od razu rozpoznał

– to był jego telefon, ten sam, który miał ze sobą, gdy przybył pod budynek Mossadu.

Przesunęła go po blacie w jego stronę.

– Masz telefon

– powiedziała chłodno.

– Znasz zasady.

Marek skinął głową.

Wiedział, że to nie był gest zaufania, tylko znak, że Mossad dopuścił go do następnego etapu

– na krótkiej smyczy, pod pełną kontrolą.

Sięgnął po aparat, wziął go do ręki i przez moment trzymał w milczeniu, czując, jak ciężar tego przedmiotu jest większy niż zwykły kawałek elektroniki.

To było jego jedyne połączenie z Polską.

Powoli wybrał numer do centrali w Warszawie.

Po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się głos dyżurnego oficera:

– Centrala.

Marek odchrząknął i powiedział:

– Nowicki. Jestem na łączach.

Rozmowa Marka z Centralą w Warszawie

– Centrala.

– głos w słuchawce był chłodny, urzędowy.

– Nowicki – przedstawił się.

– Jestem na miejscu.

Otrzymałem dokumenty w sprawie Radeckiego.

Chcę potwierdzenia: czy to oficjalne stanowisko Warszawy?

Po chwili ciszy odpowiedział inny głos, bardziej zdecydowany, należący do jego przełożonego:

– Tak, Marek.

To polecenie bezpośrednie.

Radecki jest priorytetem.

Handluje bronią z ludźmi, którzy działają przeciw Izraelowi.

I to właśnie Izrael go zdejmie.

– Rozumiem

– odparł Marek, ścisząc głos.

– Ale chcę wiedzieć, czy mamy pewność co do źródeł.

– Mamy

– potwierdził głos.

– Informacje pochodzą z kilku niezależnych źródeł.

Radecki nie działa sam.

To część większej siatki.

Mossad ma przewagę operacyjną.

Ty masz być ich łącznikiem i obserwatorem z naszej strony.

Marek zmrużył oczy.

– Czyli formalnie nie ma mnie tam wcale.

– Dokładnie tak.

– krótka pauza.

– Masz patrzeć, słuchać i reagować tylko, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli.

Reszta należy do Izraela.

Marek poczuł, jak rośnie w nim napięcie, ale odparł spokojnie:

– Zrozumiałem.

Połączenie zakończyło się krótkim trzaskiem.

Odłożył telefon na biurko i przez chwilę patrzył w ciszy na czarny ekran.

Potem sięgnął po teczkę, jeszcze raz przejrzał zdjęcia i notatki.

– Tak myślałem...

– mruknął bardziej do siebie niż do Yael.

– On nigdy nie grał sam.

Zawsze miał współników.

Jeśli Radecki jest tu, w Izraelu, to znaczy, że ktoś z miejscowych go kryje.

Uniósł wzrok na Yael.

– I to jest najważniejsze dla sprawy.

Marek odłożył telefon na biurko.

Rozmowa z Warszawą była krótka, rzeczowa

– potwierdzili, że Radecki jest priorytetem i że jego rola ogranicza się do bycia łącznikiem.

– Centrala mówi jasno

– odezwał się, patrząc na Yael.

– Macie wolną rękę, a ja mam obserwować i raportować.

Yael skinęła głową, jakby tego się spodziewała.

Chwyciła teczkę i bez słowa wyszła z pokoju.

Kilka minut później znaleźli się z powrotem przed tymi samymi ciężkimi drzwiami.

Yael zapukała, a w środku odezwał się niski głos:

– Proszę.

Dyrektor Mossadu siedział za biurkiem, a jego spojrzenie od razu zatrzymało się na Marku.

Yael położyła teczkę na biurku i zdała relację:

– Nowicki skontaktował się z Warszawą.

Centrala potwierdziła priorytet sprawy Radeckiego.

Chcą, by był naszym łącznikiem, ale podkreślili, że całość operacji leży po naszej stronie.

Dyrektor przez chwilę milczał, obracając w dłoni długopis.

Wreszcie odłożył go i spojrzał najpierw na Yael, potem na Marka.

– Dobrze

– powiedział spokojnie.

– W takim razie działamy.

Ale pamiętajcie

– każdy jego krok ma być pod obserwacją.

Jego ton nie pozostawiał złudzeń: to nie była prośba, tylko rozkaz.

Dyrektor Mossadu przez chwilę bębnił palcami o blat biurka, jakby rozważał wszystkie opcje.

W końcu spojrzał na Yael, a potem na Marka.

– Nie zatrzymamy go od razu

– powiedział stanowczo.

– Radecki to nie pionek.

On ma powiązania, które musimy zobaczyć.

Potrzebne nam dowody i lista jego kontaktów.

Przeniósł wzrok na Yael.

– Załatw mu spotkanie.

Ale nie w naszym imieniu.

Yael skinęła głową, rozumiejąc, odrazu.

– Ma pan na myśli, że...

– Tak

– przerwał jej dyrektor.

– Marek pójdzie jako potencjalny kupiec.

Polak z Polski, zainteresowany nowym towarem.

To wzbudzi zaufanie Radeckiego.

Marek poczuł, jak jego żołądek lekko się ścisnął.

– Czyli mam mu się przedstawić wprost?

– Nie

– dyrektor pokręcił głową.

– Masz zagrać rolę.

Użyjesz przykrywkowej tożsamości, którą dostaniesz od nas.

Ale fakt, że jesteś Polakiem, zrobimy twoim atutem.

On nie zaufa Izraelczykom.

Tobie może.

Yael przejęła głos:

– Mam kontakt, który wprowadzi nas w krąg Radeckiego.

Człowiek od lat ma dojścia do handlarzy bronią.

Nie wie, dla kogo pracuje

– i tak ma zostać.

Spotkanie mogę ustawić w ciągu dwóch dni.

Dyrektor kiwnął głową.

– Dobrze.

Ale pamiętajcie:

Jeden fałszywy krok i stracimy nie tylko operację, ale i wasze głowy.

Zapadła cisza, w której Marek poczuł ciężar odpowiedzialności mocniej niż kiedykolwiek.

Kiedy wyszli z gabinetu Dyrektora, Yael milczała aż do swojego biura.

Dopiero tam zamknęła drzwi, rzuciła teczkę na biurko i usiadła ciężko na fotelu.

– No to mamy zadanie

– powiedziała chłodno.

– Spotkasz się z Radeckim jako kupiec.

Marek opadł na krzesło naprzeciwko.

– A konkretnie?

Yael wyciągnęła z szuflady drugą, cieńszą teczkę i przesunęła ją po blacie w jego stronę.

– Twoja przykrywka.

Marek otworzył.

W środku znajdowały się fałszywe dokumenty, nowy paszport, kilka kart kredytowych i legendowana historia.

– Nazywasz się Michał Lis, przedsiębiorca z Polski.

Oficjalnie zajmujesz się handlem sprzętem budowlanym i elektroniką.

Nieoficjalnie

– szukasz kontaktów, żeby wejść w cięższy kaliber.

Marek przekartkował dokumenty, a potem uniósł brew.

– Sprzęt budowlany, elektronika, a teraz broń?

Niezła ewolucja.

Yael wzruszyła ramionami.

– To ma sens.

W tych branżach często obraca się ludźmi z pogranicza prawa.

Radecki to kupi.

A jeśli zapyta o szczegóły, będziesz miał przygotowaną wersję.

Wyciągnęła kolejne kartki

– listę pytań i odpowiedzi.

– Tu masz legendę, której masz się trzymać.

Nazwy firm, adresy, kontakty.

Wszystko sprawdzone.

Marek odchylił się w fotelu, patrząc na nią uważnie.

– I co, mam wejść do niego jak do starego znajomego i poprosić o katalog?

Yael uśmiechnęła się krótko.

– Mniej więcej.

Ale pamiętaj, Marek – to nie jest teatr.

Jeśli Radecki poczuje, że grasz, jesteś martwy.

Zapadła krótka cisza.

Marek jeszcze raz spojrzął na paszport z nowym nazwiskiem.

– Michał Lis...

– powtórzył półgłosem.

– No dobrze.

Zobaczymy, czy Polak zaufa Polakowi.

Następnego dnia rano Yael wezwała Marka do swojego biura.

Siedziała już przy stole, przed sobą miała cienką teczkę z kilkoma kartkami.

– Dziś wieczorem spotkam się z informatorem –
oznajmiła rzeczowo.

– To przez niego dotrzemy do Radeckiego.

Marek uniósł brew.

– Mam być przy tym?

– Nie w środku

– pokręciła głową.

– Ty i oficer Levi zajmiecie pozycję naprzeciwko mieszkania.

Będziecie obserwować wejście, notować każdy ruch. Jeśli coś pójdzie nie tak, macie reagować.

– A jeśli pułapka?

– spytał Marek.

Yael wzruszyła ramionami.

– Wtedy przekonamy się, czy informator gra po naszej stronie.

Po kilkunastu minutach drzwi mieszkania otworzyły się i Yael wyszła na ulicę.

Jej twarz była kamienna, kroki szybkie i zdecydowane.

Wsiadła do swojego samochodu i odjechała w stronę siedziby Mossadu.

Marek i Levi poczekali jeszcze chwilę, obserwując, czy nikt jej nie śledzi, po czym również ruszyli.

Kiedy podjechali pod budynek centrali, zauważyli jej samochód na parkingu.

Yael czekała na nich w swoim samochodzie.

Szyba zsunęła się w dół i krótkim ruchem dłoni zaprosiła ich do środka.

Marek usiadł z tyłu, Levi obok niej.

W środku panowała gęsta cisza.

– Mamy potwierdzenie

– zaczęła rzeczowo.

– Radecki działa tutaj, w Izraelu.

Spotkanie można załatwić w ciągu kilku dni.

Marek odetchnął, ale Yael mówiła dalej, patrząc prosto przed siebie:

– Informator dorzucił jeszcze jedną rzecz.

Obaj spojrzeli na nią pytająco.

– Twierdzi, że w Mossadzie jest kret.

W samochodzie zrobiło się jeszcze ciężiej.

Levi skrzywił się, odwracając wzrok.

– To poważne oskarżenie.

– Dokładnie

– przytaknęła chłodno Yael.

– Ale to wciąż tylko słowa.

Nie mamy żadnych dowodów.

Może być prawda, a może próba rozbicia nas od środka.

Marek oparł się o siedzenie.

– Czyli mamy działać, wiedząc, że ktoś może patrzeć nam na ręce...

albo dajemy się wciągnąć w gierkę.

Yael skinęła głową.

– Dokładnie tak. Ale jedno jest pewne – misja trwa.

Zapadło krótkie milczenie.

Nikt nie chciał tego głośno powiedzieć, ale od tej chwili każde spojrzenie...

każdy gest wewnątrz organizacji mógł być postrzegany inaczej.

Tego samego wieczora Marek wrócił do swojego pokoju.

Zrzucił koszulę na krzesło i położył się na łóżku, ręce wsuwając pod głowę.

Patrzył w sufit i myślał o minionych dniach

– od chwili, gdy pojawił się w siedzibie Mossadu, przez pierwsze spotkania z Yael,

aż po dzisiejszą wiadomość o Radeckim i cień zdrady, który zawisł nad wszystkim.

Nie wiedział nawet, kiedy oczy same mu się zamknęły.

Sen przyszedł cicho, bez zapowiedzi.

O świcie obudził się wypoczęty, choć z głową pełną myśli.

Wziął szybki prysznic, ogolił się, ubrał w świeżą koszulę i spodnie.

Lustro odbiło jego twarz

– bardziej pewną niż kilka dni temu, jakby Mossad powoli odciskał swoje piętno.

Po krótkim śniadaniu skierował się prosto do biura Yael.

Korytarze były jeszcze ciche, wypełnione jedynie odgłosami kroków i dalekim brzękiem automatów z kawą.

Przed drzwiami do jej gabinetu zatrzymał się na moment, a potem zapukał trzy razy.

– Wejdź

– dobiegł głos ze środka.

Marek wszedł do środka. Yael siedziała przy biurku, pochylona nad dokumentami.

W powietrzu unosił się zapach świeżej kawy.

Podniosła wzrok, skinęła głową, by usiadł naprzeciwko niej.

– Dzień dobry, Marku.

– rzuciła półgłosem, jakby dla niej to było zwykłe powitanie,

ale dla niego wciąż brzmiało jak przydomek, do którego się nie przyzwyczaił.

– Usiądź.

Marek opadł w fotel, patrząc na teczkę leżącą przed nią.

Yael przesunęła ją w jego stronę.

– Informator odezwał się dziś nad ranem.

Spotkanie z Radeckim może dojść do skutku szybciej, niż przewidywaliśmy.

Marek uniósł brew.

– Jak szybko?

– Jutro wieczorem

– odparła spokojnie.

– Neutralny teren.

Mała kawiarnia w Jaffie.

Ty wejdiesz jako kupiec, ja będę niedaleko, z zespołem wsparcia.

– I co dokładnie mam zrobić?

– zapytał Marek, prostując się na krześle.

– Masz pokazać zainteresowanie, wciągnąć go w rozmowę

– wyjaśniła.

– Ale nie negocjujesz jeszcze.

To ma być wstęp.

Chodzi o to, żeby zobaczyć w tobie potencjalnego klienta. Polaka, który szuka dostępu do broni.

Marek spojrzał na nią uważnie.

– A jeśli się zorientuje, że to gra?

Yael wzruszyła ramionami.

– Wtedy już nie będzie odwrotu.

Zapadła krótka cisza.

– Jutro zaczyna się prawdziwy test

– dodała poważnie.

– I nie tylko dla ciebie, Marek.

Marek pojechał na umówione spotkanie.

Dookoła kawiarni dyskretnie rozstawieni byli ludzie Mossadu

– pojedyncze sylwetki wtopione w otoczenie:

Ktoś udający przechodnia, ktoś siedzący na ławce z gazetą, para przy kiosku.

Każdy miał swoje zadanie, każdy pilnował sektora.

Sam Marek wysiadł z samochodu kilka uliczki dalej i ruszył pieszo.

Krótkie spojrzenie w witryny sklepów po drodze wystarczyło, by upewnił się, że obstawa działa.

Wszedł do kawiarni.

Miejsce było zwyczajne, pełne zapachu kawy i ciepłego pieczywa, kilku klientów rozmawiało półgłosem.

Marek wybrał stolik w rogu, z widokiem na drzwi.

Usiadł, zamówił espresso i czekał.

Serce biło mu miarowo, ale w głowie kłębiły się myśli

– o Radeckim, o informatorze, o rzekomym krecie w Mossadzie.

Wiedział, że to spotkanie to nie tylko gra o pozyskanie zaufania handlarza, ale też sprawdzian dla niego samego.

Drzwi kawiarni otworzyły się.

Do środka wszedł mężczyzna w eleganckim płaszczu, z lekkim uśmiechem na twarzy.

Rozglądał się swobodnie, jak ktoś, kto zna swoją wartość.

Marek od razu go rozpoznał.

– Janusz Radecki, żywy, tuż przed nim.

Mężczyzna ruszył w jego stronę i zatrzymał się przy stoliku.

– Pan Lis?

– zapytał spokojnym, kontrolowanym tonem.

Rozdział 5

Kret

Marek uniósł wzrok na mężczyznę.

Radecki stał przed nim, elegancki, pewny siebie, z tym charakterystycznym chłodem w oczach.

– Pan Lis?

– powtórzył, a uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był bardziej wyzwaniem niż powitaniem.

Marek skinął głową.

– Tak. Michał Lis.

– Wskazał na krzesło naprzeciwko.

– Proszę usiąść.

Radecki rozpiął płaszcz, usiadł powoli i spojrzał na niego tak, jakby czytał w nim jak w otwartej księdze.

– To porozmawiajmy o interesach

– rzucił cicho, ale Marek miał wrażenie, że te słowa były testem, a nie zaproszeniem do rozmowy.

Marek uniósł wzrok na mężczyznę stojącego przed nim.

Rozpoznał go od razu

– Janusz Radecki, żywy, tuż przed nim.

– Pan Lis?

– zapytał spokojnym, kontrolowanym tonem.

– Tak

– Marek skinął głową, wskazując na wolne krzesło naprzeciwko.

– Michał Lis.

Radecki usiadł, i spojrzał na niego uważnie, jakby ważył każde słowo, każdy gest.

– Słucham.

Marek pochylił się lekko nad stołem, trzymając w dłoni filiżankę espresso.

– Potrzebuję kilku sztuk broni.

Na ustach Radeckiego pojawił się cień uśmiechu.

– Konkretnie ilu?

– Pięciu

– odpowiedział bez zawahania Marek.

– To już brzmi poważnie

– odparł Radecki, opierając się wygodnie w fotelu.

– Pięć sztuk mogą załatwić.

Cena: trzydzieści pięć tysięcy za jedną.

Marek uniósł brew, jakby przeliczał w głowie.

– Rozumiem.

– Ale o szczegółach nie rozmawiam tutaj

– przerwał mu Radecki.

– Ktoś się odezwie, żeby ustalić szczegóły.

Wstał powoli, poprawił płaszcz i spojrzał mu w oczy.

– Do tego czasu radzę się dobrze zastanowić, panie Lis.

Odwrócił się i wyszedł z kawiarni, zostawiając po sobie tylko zapach drogiej wody kolońskiej i napięcie w powietrzu.

Marek jeszcze chwilę siedział przy stoliku, starając się utrzymać spokojną twarz.

Dopiero gdy kelnerka zabrała pustą filiżankę, poczuł, jak adrenalina powoli opada.

Marek wyszedł z kawiarni dopiero po pół godziny.

Nie chciał sprawiać wrażenia, że spotkanie było jego jedynym celem wizyty

– zamówił jeszcze herbatę, chwilę posiedział, obserwując ludzi, a dopiero potem wyszedł na ulicę.

Na rogu czekał już samochód.

W środku siedzieli Yael i Levi. Marek wsiadł bez słowa, a Levi od razu ruszył w stronę siedziby.

Podróż przebiegła w milczeniu, każdy układał myśli po swojemu.

Dopiero gdy znaleźli się w biurze Yael i drzwi zamknęły się za nimi, napięcie zaczęło puszczać.

Marek wszedł do biura i od razu opadł na krzesło.

– Coś mi tu nie pasuje – rzucił bez ogródek.

Yael uniosła brew.

– W jakim sensie?

– Za łatwo to poszło

– odparł Marek, patrząc na nią uważnie.

– Oczekiwałem, że będzie mnie sprawdzał, ciągnął za język, może nawet próbował złapać na jakimś szczególe.

A on... podał cenę i powiedział, że ktoś się odezwie.

Zero dociekania, zero testów.

Levi, stojący pod ścianą, odezwał się spokojnym tonem:

– Prawdę mówiąc, też miałem takie wrażenie.

Radecki nigdy nie był tak „miły” dla nowych kontaktów.

Yael pochyliła się do przodu, splatając dłonie na biurku.

– Czyli uważacie, że coś tu jest nie tak?

Marek skinął głową.

– Dokładnie. Jakby nie grał roli handlarza, tylko...

Nie wiem. Jakby czekał, aż sam się odsłonię.

Levi dodał:

– To albo nowa metoda, albo gra na zupełnie innym poziomie.

Yael westchnęła, sięgnęła do telefonu i wydała krótką komendę.

Po chwili na monitorze biura pojawiło się nagranie ze spotkania

– kamery ukryte w kawiarni zarejestrowały każde słowo, każdy gest.

– Przeanalizujemy to jeszcze raz

– powiedziała stanowczo.

– Może coś przeoczyliśmy.

Marek oparł łokcie o stół, wpatrując się w ekran.

– Albo to on specjalnie pozwolił nam przeoczyć.

*** Analiza Nagrania ***

Usiedli w sali konferencyjnej.

Na stole tylko kawa i rzutnik, który rzucał obraz na ścianę. Yael włączyła nagranie.

Na ekranie pojawił się Radecki.

Wchodził do kawiarni spokojnym krokiem, z kontrolowanym uśmiechem.

- Ktoś, kto naprawdę handluje bronią, nie wchodzi tak wyluzowany
- rzucił Marek, nie odrywając wzroku od obrazu.
- Zawsze patrzą na drzwi, zawsze lustrują ludzi. A ten wszedł jak do siebie.

Przewinęli dalej.

Radecki siada, Marek padające słowa znał już na pamięć, ale teraz zwrócił uwagę na drobiazg.

- Widzicie?
- Marek zatrzymał nagranie.
- Ani razu nie spojrzał mi w ręce.

Normalnie każdy by sprawdził, czy nie mam mikrofonu, czy czegoś nie zapisuję.

Levi pokiwał głową, samemu robiąc się czujnym.

Potem przyszła kolej na dźwięk.

Głos Radeckiego brzmiał czysto, pewnie, ani jednego zawahania.

– I jeszcze to

– powiedział Marek.

– On nie rozmawia jak handlarz.

Brzmi jak ktoś, kto prowadzi spotkanie kontrolowane.

– Kontrolowane?

– powtórzyła Yael.

– Przez kogo?

Marek wzruszył ramionami.

– Może przez jego wspólników. A może przez...

Urwał, nie kończąc zdania.

W sali zapadła cisza.

I właśnie wtedy w kieszeni Marka zawibrował telefon.

Spojrzał na ekran i zamarł.

– No proszę... – mruknął, pokazując numer Yael i Leviemu.

– Odbierz

– powiedziała chłodno Yael.

Marek przycisnął aparat do ucha.

– Panie Lis...

– rozległ się głos Radeckiego, spokojny i nisko brzmiący.

– A może raczej... panie Nowicki.

Marek zamarł.

W sali konferencyjnej panowała cisza,

Yael i Levi wpatrywali się w niego uważnie.

– Przez telefon nie rozmawia się o takich sprawach

– ciągnął Radecki.

– Spotkajmy się.

– Gdzie i kiedy?

– spytał Marek, starając się utrzymać równy ton głosu.

– Jutro, dziewiętnasta.

Doki w Tel Awiwie, magazyn numer cztery.

– Zawiesił głos na chwilę, a potem dodał:

– I proszę przyjść z panną Yael.

Połączenie zakończyło się krótkim trzaskiem.

Marek odłożył telefon na stół.

W biurze zrobiło się jeszcze ciężiej niż przed chwilą.

– Co tutaj się właśnie wydarzyło, stwierdziła Yeal...

– Wiedział?

– Marek odezwał się w końcu.

– Nie tylko kim jestem. Wiedział też o tobie, Yael.

Oczy Levi'ego zwęziły się, a Yael zacisnęła wargi.

– Wygląda na to

– powiedziała chłodno

– że ktoś tu naprawdę gra w inną grę.

Yael spojrzała na Marka, potem na Leviego.

W jej oczach nie było wahania, tylko chłodna determinacja.

– Jutro się wszystkiego dowiemy.

Spotkanie w Dokach

Następnego dnia cała trójka zjawiała się w dokach.

Stare magazyny ciągnęły się wzdłuż nabrzeża, a morze uderzało o betonowe falochrony.

W samochodzie panowała cisza, tylko zegar na desce rozdzielczej tykał nieubłaganie.

Mijały minuty. Potem godziny.

Marek zerkał co jakiś czas na Yael, ale ona siedziała spokojna, opanowana, jakby takie czekanie było dla niej czymś naturalnym.

Levi trzymał rękę na kolanie, co jakiś czas przesuwając wzrokiem po lusterkach.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu.

Na desce rozdzielczej migał znajomy numer.

– To on

– powiedział Marek, czując, jak serce przyspiesza.

– Ten sam numer co wczoraj.

Sięgnął po aparat i odebrał.

– Wsiadźcie z samochodu

– rozległ się spokojny, niski głos Radeckiego.

– I przejdźcie do doku numer piętnaście.

Tam będę na was czekał.

Połączenie zakończyło się natychmiast, bez słowa więcej.

Marek spojrzał na Yael i Leviego.

– Piętnaście

– powtórzył.

– On chce nas tam.

Yael poprawiła włosy i otworzyła drzwi samochodu.

– To chodźmy.

Po dotarciu do doku numer piętnaście zatrzymali się na chwilę przed wielkimi, zardzewiałymi drzwiami.

Okolica była pusta, śmiec wiatr targał po betonie,

gdzieniegdzie słychać było tylko skrzypienie blachy.

Yael i Marek weszli do środka.

Levi został przy wejściu, by asekurować i obserwować teren.

Wewnątrz panował półmrok, pachniało wilgocią i starym olejem.

Pośrodku, w miejscu gdzie światło wpadało przez wybite okna, stał Janusz Radecki.

Wyglądał tak, jakby wcale nie czekał na nich godzinami, tylko dopiero co przyszedł

– elegancki płaszcz, spokojna twarz, ręce luźno splecione za plecami.

Marek zrobił kilka kroków naprzód i odezwał się ostrożnie, lecz stanowczo:

– Co się dzieje, Radecki?

O co tutaj chodzi?

Na twarzy mężczyzny pojawił się lekki, niemal rozbawiony uśmiech.

– Wreszcie możemy porozmawiać poważnie

– odparł cicho.

Radecki zrobił dwa kroki w stronę światła wpadającego przez brudne okno.

Jego sylwetka wyraźnie odcinała się na tle pustego magazynu.

– Zaczniemy od tego, że nie jestem handlarzem

– powiedział spokojnie.

– A już na pewno nie nazywam się Janusz Radecki.

Marek zmarszczył brwi.

– To kim, do cholery, jesteś?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, jakby spodziewał się tego pytania.

– Nazywam się Jonathan Reed. Oficer operacyjny Central Intelligence Agency.

Yael spojrzała na niego zimno, ale nie odezwała się ani słowem.

– Ta cała bajeczka o „Radeckim” była przykrywką

– kontynuował Reed.

– Wpuszczoną w obieg celowo, żeby zobaczyć, kto zacznie się interesować „polskim handlarzem bronią”.

Wy złapaliście haczyk. Mossad, a teraz także pan, panie Nowicki.

Marek poczuł, jak w żołądku robi mu się ciężko.

– Chcesz nam powiedzieć, że cała ta operacja to teatr?

– Nie teatr

– poprawił go Reed, wyciągając z kieszeni cienką teczkę i rzucając ją na pobliską skrzynkę.

– To było sito.

Kto naprawdę będzie chciał dotrzeć do „Radeckiego”, ten wpadnie w krąg CIA.

A kto ma swoje ukryte interesy... ten zdradzi się sam.

Yael podeszła bliżej, patrząc mu prosto w oczy.

– Skoro grasz w tę grę, to znaczy, że podejrzewacie, że ktoś tu gra nieczysto.

Reed skinął głową.

– Dokładnie.

I nie mówię o terrorystach.

Na sali zapadła cisza tak gęsta, że słyszeć było kapanie wody z nieszczelnej rury.

Marek poczuł, że to dopiero początek historii, która wywróci wszystko do góry nogami.

Reed podszedł bliżej, zostawiając między sobą a Markiem i Yael tylko kilka kroków dystansu.

Złożył ręce na piersiach i mówił spokojnie, niemal wykładowym tonem:

– W CIA od dawna mieliśmy podejrzenia wobec jednego z naszych ludzi.

Oficjalnie

– perfekcyjny oficer, świetne wyniki, żadnych wpadek.

Ale w praktyce... za każdym razem, gdy wchodziliśmy na trop dużej siatki, przeciwnik był już dwa kroki przed nami.

Yael uniosła brodę.

– Nazwisko.

– David Miller

– odparł Reed bez wahania.

– Wasz „sojusznik”, który od kilku miesięcy grzeje ławę w Mossadzie jako doradca ze Stanów.

Marek zmarszczył brwi.

– Chcesz nam wmówić, że Miller to kret?

– Nie chcę wmówić

– poprawił go Reed, spoglądając mu prosto w oczy.

– Mówię, że wszystko na to wskazuje.

CIA podejrzewało go od dawna, ale dowodów brakowało.

I nagle, cudownym trafem, Miller ląduje w Tel Awiwie.

Idealna pozycja, żeby się zamęt nie tylko u nas, ale i u was.

Yael zacisnęła dłonie w pięści, ale jej twarz pozostała kamienna.

– To poważne oskarżenie.

– Wiem

– skinął głową Reed.

– Dlatego chciałem spotkać się z wami bez świadków.

Bo jeśli Miller rzeczywiście gra dla kogoś innego

To u Was domu siedzi wilk, a wy nawet o tym nie wiecie.

Zapadła cisza.

Gdzieś na zewnątrz skrzypnęła blacha, wiatr uderzył w ścianę doku.

Marek przełknął ślinę i odezwał się cicho:

– A jeśli się mylisz?

Reed uśmiechnął się krzywo.

– To się okaże szybciej, niż wam się wydaje.

Po wyjściu z doku jechali w milczeniu.

Silnik samochodu warczał jednostajnie, światła uliczne przesuwwały się za oknem.

Marek czuł ciężar słów Reeda, a obok niego Yael wyglądała, jakby wciąż układała wszystko w głowie.

– Co teraz?

– odezwał się w końcu Marek.

Yael spojrzała na niego krótko, potem na Leviego w lusterku.

– Teraz... nic – odparła chłodno.

– Nie możemy iść do dyrektora z czymś, co jest tylko słowami Amerykanina.

Bez dowodów wyglądałoby to jak próba rozbicia naszej operacji.

Levi pokiwał głową.

– Szef by nas zmiażdżył.

– Dokładnie

– potwierdziła Yael.

– Dlatego, jeśli mamy sprawdzić Millera, musimy to zrobić sami.

Po cichu.

Marek zmarszczył brwi.

- Czyli bawimy się w kotka i myszkę we własnym domu.
- Właśnie tak
- odparła, patrząc przed siebie.
- Dopóki nie będziemy mieli czegoś, co nie zostawi wątpliwości, Miller jest dla nas nietykalny.

Zapadła cisza, w której wszyscy troje wiedzieli,

że od tej chwili każda obserwacja,

każde słowo i każdy gest Millera mogą mieć znaczenie.

Po powrocie do centrali nikt się nie odzywał.

Milczeli w korytarzu, milczeli w windzie, aż w końcu stanęli przed drzwiami gabinetu Dyrektora.

Yael zapukała krótko.

- Wejść
- usłyszeli znajomy, chłodny głos.

Dyrektor siedział za biurkiem, jak zawsze opanowany, z rękoma splecionymi na blacie.

Jego spojrzenie przesunęło się po trójce agentów, zatrzymując się na Marku.

- Macie dla mnie raport? – zapytał.

Yael skinęła głową i wyłożyła wszystko:

Spotkanie w kawiarni, Radeckiego, który okazał się Jonathanem Reedem z CIA, podejrzenia wobec Millera.

Marek dopowiadał szczegóły, Levi uzupełniał fakty.

Dyrektor słuchał w milczeniu, nie przerywając ani razu.

Kiedy skończyli, uniósł brwi i odparł spokojnie:

– Dziękuję za raport.

Ale muszę was rozczarować.

To, co odkryliście, było częścią planu.

Marek zmarszczył brwi. – Jak to „plan”?

– Reed działał na moje polecenie

– powiedział Dyrektor.

– I od początku wiedziałem o Millerze.

O wszystkim poinformował mnie osobiście Dyrektor CIA.

Zapadła cisza.

– Ale... – Marek urwał, szukając słów.

– Czyli my...

– Byliście testem

– przerwał mu Dyrektor ze stoickim spokojem.

– Musieliśmy sprawdzić, czy można wam zaufać.

Operacja, w którą wchodzić, jest zbyt poważna, by powierzyć ją przypadkowym ludziom.

Levi odetchnął głęboko, a Yael zacisnęła wargi,

jakby chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

Dyrektor wstał zza biurka, opierając dłonie o blat.

– Teraz już wiecie.

Jesteście w grze.

Od tej chwili nic nie będzie takie samo.

A Miller...

– zawiesił głos

– Miller musi zostać dokładnie sprawdzony.

Trójka agentów spojrziała po sobie, wiedząc, że właśnie przekroczyli granicę, zza której nie było odwrotu.

Wieczorem zasiedli w małym pokoju operacyjnym na trzecim piętrze siedziby Mossadu.

Żadnych okien, tylko stół, kilka krzeseł i mapa Tel Awiwu na ścianie.

Yael otworzyła teczkę, spojrziała na Marka i Leviego.

– Musimy działać ostrożnie.

Dopóki nie mamy dowodów, Miller jest nietykalny.

– A jednak

– odezwał się Marek

– coś w jego zachowaniu zaczyna zgrzytać.

Reed mógł mieć rację.

Levi skrzyżował ręce.

– Jeśli Reed mówi prawdę, musimy to sprawdzić.

Ale nie pójdziemy z tym do dyrektora, dopóki nie będziemy mieli twardych dowodów.

Yael skinęła głową.

– Więc robimy tak: Marek i ja obserwujemy Millera. Sprawdzamy każdy najmniejszy szczegół.

Spotkania, telefony, każde dziwne zachowanie.

– A ja?

– spytał Levi.

– Ty sprawdzisz Reeda

– odparła.

– Jeśli mamy mu ufać, musimy wiedzieć, że jego tropy są prawdziwe.

Sprawdź wszystkie kontakty, które nam poda, każdą informację.

Jeżeli on jest perfekcyjny, wszystko się zgodzi.

Levi uśmiechnął się lekko.

– W porządku. Zawsze lubiłem polowanie na luki.

Marek spojrzał na nich oboje.

– A jeśli w trakcie obserwacji Miller zorientuje się, że go sprawdzamy?

Yael zamknęła teczkę i spojrzała na Marka oraz Lewiego.

– I jeszcze jedno

– powiedziała stanowczo.

– O tym pokoju prawie nikt nie wie.

Od teraz to nasze centrum operacyjne.

Wszystkie nowe informacje i dokumenty trafiają tutaj.

I tylko tutaj rozmawiamy.

Zapadła krótka cisza, w której każdy z nich poczuł ciężar tego, co właśnie ustalili.

Rozdział 6

Zasady się zmieniły

Od tej chwili wszystko działało inaczej.

Nie było już oficjalnych raportów, odpraw i meldunków.

Był tylko pokój na trzecim piętrze

– pusty, cichy, o którym prawie nikt nie wiedział.

To tam Marek, Yael i Levi zaczęli prowadzić swoją własną grę.

Dzień Misji 1

Następnego dnia, punkt ósma rano, Marek i Yael spotkali się w pokoju operacyjnym.

Pusty jeszcze kilka dni temu, teraz stał się sercem ich działań

– na ścianie wisiała mapa regionu, biurko zasypane było wydrukami i teczkami, a na monitorach otwarte były bazy danych Mossadu.

Dyrektor nie rzucał słów na wiatr.

Dostali dostęp do wszystkich zasobów, jakie agencja mogła im udostępnić.

Mieli prawo przeszukiwać archiwa, korzystać z łączności satelitarnej, a nawet sięgać po pomoc Reeda i CIA.

Yael wertowała dokumenty szybkim, wyćwiczonym ruchem, a Marek obok niej przeglądał kolejne bazy danych.

Wpisywali nazwisko Millera w różnych konfiguracjach, sprawdzali kontakty, misje, loty, rachunki

– szukali czegokolwiek, co by się nie zgadzało.

– Jeśli zostawił choćby cień śladu, znajdziemy to

– mruknęła Yael, nie odrywając oczu od ekranu.

Na stoliku obok leżałateczka przekazana przez Reeda.

Dokumenty, raporty, zdjęcia.

Dane, które według CIA wskazywały na to, że Miller od dawna coś ukrywa.

W tym czasie Levi działał na własnym torze.

Wyjechał do centrali CIA, korzystając z oficjalnych kanałów współpracy.

Tam miał sprawdzić Reeda

– nie dlatego, że mu nie wierzyli, ale dlatego, że nawet perfekcyjny agent musi być zweryfikowany.

Marek oderwał wzrok od monitora i spojrzał na Yael.

– Wiesz, że to jak szukanie igły w stogu siana?

– Wiem

– odparła krótko.

– Ale ten stóg jest nasz.

Yael zatrzymała się nagle przy jednym z raportów. Przekartkowała kilka stron i zmarszczyła brwi.

– Marek... spójrz na to.

Przysunął się bliżej. W papierach figurował wpis z kilku miesięcy wcześniej

– oficjalny raport Millera z misji w Europie.

Problem w tym, że w archiwach CIA, w dokumentach od Reeda, ta misja... w ogóle nie istniała.

– Raport bez misji

– mruknął Marek.

– Albo źle oznaczony, albo...

– Albo Miller napisał go na potrzeby Mossadu, licząc, że nikt nie będzie miał dostępu do oryginalnych danych w CIA

– dokończyła chłodno Yael.

Oboje spojrzeli na siebie wymownie.

To nie był jeszcze dowód, ale pierwszy wyraźny krok

– cienka rysa na wizerunku idealnego oficera.

Marek odchylił się na krześle.

– Wygląda na to, że nasz wilk zostawił pierwszy ślad.

Yael schowała raport do osobnej teczki, oznaczając go czerwonym markerem.

– To dopiero początek.

Rozmowa z Warszawą

Wieczorem Marek wszedł do małego pokoju łączności, gdzie na biurku leżał telefon satelitarny.

Zamknął za sobą drzwi, sprawdził dwa razy, czy linia jest czysta, i dopiero wtedy wybrał numer do centrali w Warszawie.

Po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się spokojny, zdystansowany głos oficera dyżurnego:

- Centrala, słucham.
- Orzeł, raportuję – Marek mówił rzeczowo, bez zbędnych słów.
- Sprawa polskiego handlarza bronią wygląda zupełnie inaczej, niż zakładaliśmy.

„Radecki” okazał się przykrywką – to agent CIA, Jonathan Reed.

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza.

- Kontynuuj.
- Według niego mamy do czynienia z kretem, który przeniknął do Mossadu.

Podejrzenia kierują się na Davida Millera.

Mossad i CIA prowadzą wspólną operację. Ja działam w ich strukturze.

- Rozumiem
- odparł głos z centrali, bez emocji.
- Potwierdzasz współpracę z Izraelem i Stanami?

– Tak

– Marek skinął głową, choć wiedział, że nikt go nie widzi.

– Dyrektor Mossadu został poinformowany, wszystko dzieje się z jego wiedzą.

Po chwili w słuchawce odezwał się ten sam spokojny głos:

– Działaj dalej, Orle.

Czekamy na kolejne raporty.

Połączenie zakończyło się suchym trzaskiem.

Marek odłożył telefon, a w jego głowie dudniło jedno

– Polska wie, ale na razie nie zamierza się wtrącać.

Randka Yeal

Wieczorem, po długim dniu w pokoju operacyjnym, Yael spotkała się ze swoim chłopakiem, Danielem Korenem.

Był prawnikiem, elegancki, zadbany, człowiek z zupełnie innego świata niż ona.

Usiadł naprzeciwko w małej restauracji w centrum Tel Awiwu, poprawiając mankiet koszuli.

- Wyglądasz na zmęczoną
- powiedział, wpatrując się w nią uważnie.

Yael uśmiechnęła się krótko.

- Długi dzień.
- Długi dzień czy długa misja?
- zapytał pół żartem, pół serio.
- Tego ci nie mogę powiedzieć
- odparła spokojnie, biorąc łyk wina.

Rozmowa toczyła się zwyczajnym rytmem

– o pracy, której nie mogła mu zdradzić, o jego sprawach w sądzie, o planach na weekend.

Było w tym coś kojącego, ale też powierzchownego.

Daniel nalegał, by częściej się widywali, a Yael odpowiadała wymijająco.

Po kolacji odprowadził ją do samochodu, pocałował w policzek i odszedł, a ona przez chwilę patrzyła za nim w ciszy.

Następnego dnia odwiedziła rodziców. Ich dom znajdował się na przedmieściach

– biały budynek z ogrodem, pełen zapachu jaśminu.

W progu przywitała ją matka, ciepła i rozmowna, ojciec siedział w fotelu z gazetą, jak zawsze opanowany.

– Córeczko, za rzadko nas odwiedzasz

– narzekała matka, obejmując ją mocno.

– Staram się jak mogę

– odpowiedziała Yael, uśmiechając się delikatnie.

W kuchni już czekała jej siostra, Miriam.

Była od niej młodsza, kolorowe włosy, luźna sukienka, farba jeszcze na palcach – artystka, wolny duch.

– Patrzcie, przyszła pani oficer w garniturze

– rzuciła z przekąsem, wskazując na Yael.

– Ile to już razy obiecywałaś, że znajdziesz czas na wakacje z rodziną?

– Miriam

– wtrącił ojciec ostrzegawczo, ale Yael tylko uśmiechnęła się cierpko.

– Nie wszyscy możemy żyć ze sprzedaży obrazów

– odpowiedziała spokojnie.

– Ktoś musi pilnować, żebyś miała ten swój spokój.

Miriam przewróciła oczami, ale zaraz po tym podeszła i mocno przytuliła siostrę.

– Wiem, tylko czasem się boję, że któregoś dnia nie wrócisz.

Yael milczała, a matka odwróciła temat, stawiając na stole świeżo upieczone ciasto.

Marek samotny wieczór

Tego samego wieczoru, gdy Yael siedziała w ciepłym domu rodzinnym, Marek wrócił do swojego pokoju w Mossadzie.

Pokój był sterylny

– łóżko, biurko, szafa.

Żadnych osobistych rzeczy, żadnych zdjęć.

Na stole leżał telefon satelitarny, z którego chwilę wcześniej łączył się z Warszawą.

Raport był krótki i rzeczowy –

„Handlarz bronią okazał się agentem CIA.

W grze jest kret w Mossadzie. Działam dalej w strukturach izraelskich.”

Centrala odpowiedziała równie chłodno: „Raport przyjęty. Kontynuuj współpracę.”

Marek odłożył telefon, nalał sobie szklankę wody i usiadł na łóżku.

Spojrzał w sufit.

Przez chwilę w pokoju było tak cicho, że słyszał własne myśli.

Myśli o Warszawie, o tym, jak łatwo człowiek traci kontakt ze światem, gdy raz da się wciągnąć w tryby wywiadu.

Sięgnął do torby i wyjął zdjęcie

– stara, trochę wyblakła fotografia, na której stał z kilkoma kolegami z czasów w Polsce.

Wszyscy uśmiechnięci, młodszy o lata.

Spojrzał na nią chwilę i odłożył z westchnieniem.

W tej ciszy, w tym samotnym pokoju, jedynym towarzyszem była świadomość, że jutro znów zacznie się ta sama gra.

Wtedy telefon zawibrował.

Marek sięgnął po aparat i odczytał SMS-a:

„Musimy się pilnie skontaktować. Ważne informacje. – Levi”

Marek poczuł, jak w jednej chwili spokój wieczoru znika, a w jego miejsce wraca napięcie misji.

Kilka minut po SMS-ie drzwi do pokoju Marka cicho się uchyliły.

Wszedł Levi, bez słowa zamknął je za sobą i od razu usiadł przy stole.

– Mam informacje z CIA

– zaczął nisko.

– Reed jest czysty.

Perfekcyjny agent, żadnych luk, żadnych wątpliwych kontaktów.

Jeśli ktoś miałby prowadzić taką operację, to tylko on.

Marek skinął głową.

– No to dobrze.

Levi jednak nie wyglądał na uspokojonego.

– Jest jedna rzecz, która nie daje mi spokoju.

Wyjął z kieszeni notatkę i przesunął ją po stole w stronę Marka.

– W jednym z raportów jest zapisane, że Reed spotkał się z Millerem.

Oficjalnie

– służbowe spotkanie sprzed kilku miesięcy.

Ale patrząc na to, co wiemy teraz... brzmi inaczej.

Marek pochylił się nad papierem, marszcząc brwi.

– Reed i Miller. Razem przy stole.

– Dokładnie

– potwierdził Levi.

– I dlatego nie chciałem tego zostawić.

Potrzebujemy Yael. Musi to usłyszeć.

Wyjął telefon i napisał krótką wiadomość:

„Staw się u Marka. Pilne.”

Wysłał i oparł się w fotelu.

– Teraz poczekamy.

Marek spojrział na notatkę jeszcze raz.

Słowa wyglądały zwyczajnie, ale w jego głowie pulsowało tylko jedno pytanie:

Co łączy Reeda i Millera?

Kilka minut później w drzwiach pokoju Marka stanęła Yael.

Nie wyglądała na zadowoloną z nocnego wezwania, ale ton jej głosu był rzeczowy:

– O co chodzi?

– To nie tu

– przerwał Levi.

– Spotkajmy się w pokoju operacyjnym.

Trójka ruszyła korytarzem w ciszy.

Puste, nocne biuro Mossadu brzmiało inaczej

– każdy krok odbijał się echem, jakby cała siedziba wsluchiwała się w ich ruchy.

Za ciężkimi drzwiami pokoju operacyjnego czekała znajoma, sterylna przestrzeń:

mapa na ścianie, komputer podłączony do wewnętrznych baz danych, dokumenty spięte w teczkach.

Yael zamknęła drzwi na zamek kodowy i skinęła głową Leviemu.

– Mów.

Levi wyjął notatkę i położył ją na stole.

– Reed jest czysty.

Wszystko się zgadza, każdy raport, każde zadanie.

Ale...

– zawiesił głos

– w jego teczce jest zapisane jedno spotkanie.

Z Millerem.

Yael zmrużyła oczy i przesunęła dokument w stronę siebie.

– Oficjalnie wygląda jak rutynowe

– dodał Levi.

– Ale jeśli spojrzeć na to teraz, wiedząc, że Miller jest podejrzany... to nabiera innego znaczenia.

Marek oparł dłonie o stół.

– Czyli Reed mógł go znać osobiście.

– Albo

– wszedł mu w słowo Levi

– Miller mógł go sprawdzać.

Może to przypadek, a może element większej gry.

W pokoju zapadła cisza.

Każde z nich rozumiało, że ta jedna notatka mogła zmienić sposób, w jaki patrzyli na całą układankę.

Yael w końcu podniosła wzrok.

– Od tej chwili niczego nie bierzemy za pewnik. Ani Reeda, ani Millera.

Musimy sprawdzić obydwu.

W pokoju operacyjnym jeszcze chwilę panowała cisza.

Dokument leżał na stole, a każde z nich miało w głowie coraz więcej pytań.

Yael spojrzała na zegarek.

– Jest późno.

Niczego teraz nie wymyślimy.

Levi wstał pierwszy.

– Rano zaczniemy działać.

Każdy wie, co ma robić.

Marek skinął głową, a Yael zgarnęła dokument do teczki i schowała go do sejfu w ścianie.

Kiedy metalowy zamek zatrzasnął się z suchym kliknięciem, poczuli, jakby wraz z nim zamknęli swoje myśli na noc.

– O świecie wracamy tutaj

– powiedziała.

– I ruszamy.

Rozeszli się korytarzem, każdy w swoją stronę.

Mossad nocą był cichy, jakby cały budynek spał razem z nimi.

Marek, wracając do swojego pokoju, poczuł ciężar zmęczenia, ale jeszcze większy ciężar odpowiedzialności.

Wiedział jedno – rano już nic nie będzie takie samo.

Dzień Misji 2

Następnego dnia rano w pokoju operacyjnym była już Yael.

Siedziała przy stole zasypanym dokumentami,
przeglądała zdjęcia z wcześniejszych operacji i analizowała materiały
video,

które CIA przekazała przez Reeda.

Jej spojrzenie było skupione, każde kliknięcie myszką szybkie i
zdecydowane.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Marek.

Wyglądał na lekko zaspanego, koszula rozpięta pod szyją, włosy
potargane.

- Wybacz
- mruknął, siadając naprzeciwko.
- Zmęczenie w końcu mnie dopadło.

Yael uniosła brew, ale nie skomentowała.

Levi wszedł chwilę później, jak zwykle punktualny i spokojny.

Usiadł z boku, przeglądając swoje notatki.

- Masz zadanie
- odezwała się Yael.
- Skontaktujesz się dziś z CIA i wyjaśnisz tę notatkę o spotkaniu Reeda z
Millerem.

Potrzebujemy jasnej odpowiedzi, bez pólśłówek.

Levi skinął głową.

– Zajmę się tym.

W tym momencie na monitorze komputera rozległ się krótki sygnał.

Yael kliknęła, a na ekranie pojawił się operator ochrony budynku Mossadu.

– Mamy sytuację

– zameldował.

– Obserwujemy na kamerach Davida Millera.

Zachowuje się... dziwnie.

Yael zmarszczyła brwi.

– Precyzuj.

– Od pół godziny krąży po korytarzach trzeciego piętra, zagląda do biur, wchodzi i wychodzi bez sensu.

Nie wygląda, jakby czegoś szukał, ale... na pewno nie zachowuje się normalnie.

Marek i Yael wymienili spojrzenia.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Marek.

– Właśnie zniknął w archiwum wewnętrznym

– padła odpowiedź.

– Mamy kamery, ale nie w środku.

W pokoju operacyjnym zapadła cisza.

Yael odsunęła krzesło i wstała.

– Trzeba to sprawdzić.

Marek wstał od stołu, poprawił marynarkę i spojrzał na Yael.

– Ja pójdę. Zobaczę, co Miller robi w archiwum.

– Uważaj

– rzuciła krótko.

– Jeśli coś knuje, nie może się zorientować, że go obserwujemy.

Marek skinął głową i wyszedł.

Yael odwróciła się do monitora i połączyła z ochroną.

– Potrzebuję pełnych zapisów wideo.

Ostatnie trzy tygodnie.

Prześlijcie mi wszystko, co dotyczy Millera.

Chcę wiedzieć, czy to pierwszy raz, czy stały nawyk.

– Tak jest

– odpowiedział operator.

Na ekranie zaczęły pojawiać się kolejne katalogi z datami.

Yael od razu otworzyła jeden z plików, a jej palce przesuwały się szybko po klawiaturze.

Levi obserwował to w milczeniu, po czym odezwał się spokojnie:

– Ja zajmę się CIA.

Jeśli Reed kiedykolwiek pracował z Millerem, chcę wiedzieć dokładnie kiedy i w jakim kontekście.

– Dobrze

– odparła bez odrywania wzroku od monitora.

– Trzymaj nas na bieżąco.

Drzwi pokoju operacyjnego zamknęły się cicho za Markiem, a atmosfera w środku zrobiła się jeszcze cięższa.

Archiwum – obserwacja Millera

Marek poruszał się cicho korytarzem, stąpając tak, by nawet echo butów nie zdradziło jego obecności.

Kiedy dotarł do drzwi archiwum, uchylił je delikatnie.

W środku panował półmrok

– długie regały pełne teczek i segregatorów ciągnęły się aż po ściany.

Zapach kurzu mieszał się z wonią papieru i starego atramentu.

Miller stał kilka metrów dalej.

Zamiast jak zwykle pracować z oficjalnymi aktami, teraz wyglądał na kogoś, kto grzebie w dokumentach bez konkretnego celu.

Wyciągał teczki, kartkował je pobieżnie, po czym odkładał w zupełnie inne miejsce.

Marek zmrużył oczy. To nie jest zwykłe czytanie raportów. On coś maskuje.

Miller sięgnął po kolejną teczkę, rozejrzał się nerwowo, a potem wsunął niewielką kartkę papieru między dokumenty.

Zrobił to tak szybko, że dla zwykłego oka byłby to drobiazg, ale dla kogoś takiego jak Marek

– to był sygnał alarmowy.

Ukrywa ślady. Albo zostawia wiadomość.

Marek przesunął się o krok w bok, by lepiej widzieć, nie zdradzając obecności.

Miller jeszcze chwilę grzebał, po czym zamknął szafę na klucz i ruszył w stronę wyjścia.

Marek odsunął się w cień, pozwalając mu przejść obok.

Minął go na odległość dwóch metrów

– zupełnie nieświadomy, że jest obserwowany.

Kiedy drzwi archiwum zatrzęsnęły się za Millerem.

Marek wstrzymał oddech, a potem powoli podszedł do regału, gdzie ten przed chwilą manipulował dokumentami.

Spojrzał na półkę.

Teczka była odłożona byle jak, krzywo, nie w swoim miejscu.

Marek poczuł, że właśnie trafił na pierwszy realny ślad.

Pokój operacyjny:

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Marek, trzymając pod pachą teczkę.

Na jego twarzy było widać napięcie.

Yael uniosła wzrok znad monitora.

– Co masz?

Marek położył teczkę na stole.

– Miller. Grzebał w archiwum, przestawiał dokumenty, a tę teczkę...

– dotknął palcem okładki

– ukrył na półce jakby specjalnie, by nikt do niej nie zajrzał.

Yael zmarszczyła brwi, otworzyła segregator i zaczęła przerzucać strony.

Pierwsze dokumenty wyglądały na zwyczajne

– raporty operacyjne sprzed kilku lat, nic, co przyciągałoby uwagę.

– Nic specjalnego

– mruknęła.

Marek nachylił się nad nią.

– Patrz dalej.

Widziałem, że coś wkładał do środka.

Yael przerzuciła kilka kartek i nagle jej dłoń zatrzymała się w pół ruchu.

Między raportami tkwiła cienka, złożona kartka papieru.

Wyciągnęła ją powoli i rozłożyła na stole.

Na kartce znajdowały się krótkie, odręczne notatki

– daty, miejsca, inicjały.

Nic, co od razu dawało jasny obraz, ale dla wywiadowców była to potencjalna mina.

Marek spojrzał na nią uważnie.

– To wygląda jak kod spotkań.

Yael skinęła głową.

– Ale pytanie brzmi... dla kogo to zostawił?

Oboje wymienili spojrzenia.

Ciszę w pokoju przerwał tylko szum wentylatora.

Yael ostrożnie rozłożyła kartkę na stole,

Marek zrobił kilka dokładnych zdjęć, a potem całość z powrotem schował do teczki.

– Nie możemy zostawić śladów

– powiedział cicho.

– Gdyby Miller zorientował się, że ktoś ruszał papiery, zamknie się jeszcze bardziej i go spłoszymy.

Yael kiwnęła głową.

– Odnieś ją na miejsce.

Yael zamknęła laptop i spojrzała na Marka.

– Zdjęcia mamy.

Ale nigdzie ich nie wysłamy.

– Myślałem, że puścisz je analitykom

– odparł Marek.

– Nie

– pokręciła głową stanowczo.

– Jeśli Miller rzeczywiście nie działa sam, to ktoś w centrali może mu donosić.

Każdy dodatkowy świadek to ryzyko.

Analizę zrobimy sami, tutaj.

Levi w tym momencie wrócił i usiadł obok.

– I słusznie

– mruknął.

– W CIA już widziałem, jak przecieki rozwalają całe operacje.

Mamy dowody w rękach, musimy je sami odczytać.

Marek rozłożył na stole zdjęcia dokumentów, powiększając je na ekranie laptopa.

Daty, miejsca, inicjały

- pozornie chaotyczne.
- To nie jest przypadkowe
- powiedział cicho.
- Ktoś zostawił ślad.

Yael nachyliła się nad ekranem.

- Pytanie brzmi: dla kogo?

Levi skrzyżował ramiona.

- I dlaczego akurat w archiwum Mossadu.

Zapadła cisza, w której każdy z nich wiedział, że właśnie trzymają w rękach pierwszy realny trop.

Pokój operacyjny

– analiza dokumentów

Po tym, jak Marek odłożył teczkę na miejsce i wrócił, trójka zamknęła się w pokoju operacyjnym.

Na stole rozłożyli zdjęcia ukrytych notatek, powiększając każdy fragment na ekranie.

Yael kartkowała pliki jeden po drugim.

– Daty... zawsze w odstępach tygodnia.

– Miejsca

– dodał Marek, wskazując na kolejne zapisy.

– Porty, magazyny, hotele.

Nie wygląda to na przypadek.

Levi wciągnął się w analizę, pochylając nad laptopem.

– Te inicjały... zobaczcie.

Powtarzają się w kilku miejscach.

To muszą być oznaczenia kontaktów.

Zapadła cisza, tylko odgłos przesuwanych kartek i stukot klawiszy.

Yael w końcu odezwała się cicho:

– To wygląda jak plan spotkań.

Regularnych, dobrze ukrytych.

Marek zamilkł, po czym spojrzał na nich oboje.

– A teraz pytanie: kogo?

Levi przez chwilę jeszcze sprawdzał dane w bazie, aż wreszcie westchnął ciężko.

– Jedno z miejsc, ta data... pasuje do zgłoszenia naszych ludzi o spotkaniu grupy terrorystycznej w Tel Awiwie.

Marek poczuł, jak lodowaty dreszcz przebiega mu po plecach.

– Chcesz powiedzieć, że Miller zostawia w archiwum szyfrowane notatki... które prowadzą prosto do terrorystów?

– Dokładnie tak

– potwierdził Levi.

– To nie są przypadkowe daty ani miejsca.

To jest kalendarz kontaktów.

Yael oparła dłoń na stole, jej spojrzenie było twarde.

– Mamy pierwszy dowód. Miller nie gra z nami. On gra dla nich.

Pokój operacyjny

– decyzja

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

Notatki leżały rozłożone na stole jak cichy, niepodważalny oskarżyciel.

Marek pierwszy przerwał milczenie.

– To już nie są domysły. To dowód.

Levi skinął głową, twarz miał kamienną.

– Jeżeli te miejsca pokrywają się ze spotkaniami terrorystów, to Miller przekazuje im informacje.

Nie ma innej opcji.

Yael patrzyła na dokumenty jeszcze przez moment, jakby chciała wbić w pamięć każdy szczegół, po czym zamknęła teczkę.

– Z takim materiałem nie możemy czekać. Dyrektor musi wiedzieć.

– Od razu?

– upewnił się Marek.

– Tak

– odparła zdecydowanie.

– To nie jest już nasza prywatna gra.

To zagrożenie dla całej operacji.

Levi wstał, zarzucił marynarkę na ramię.

– W takim razie idziemy.

Marek spojrział na nich oboje i poczuł, że moment, na który czekali od dawna, właśnie nadszedł.

Teraz wszystko zależało od tego, jak zareaguje Dyrektor Mossadu.

Trójka wyszła z pokoju operacyjnego, zostawiając za sobą ciężar dowodów, które mogły zmienić bieg całej sprawy.

Dyrektor siedział za biurkiem, gdy trójka weszła do jego gabinetu.

Położyli na stole teczkę i fotografie dokumentów.

Yael mówiła spokojnie, ale w jej głosie było napięcie:

– Znaleźliśmy w archiwum ukrytą notatkę Millera.

Daty, miejsca, inicjały.

Po przeanalizowaniu wychodzi jasno

– to kalendarz kontaktów, które pokrywają się ze spotkaniami grup terrorystycznych.

Dyrektor słuchał w milczeniu, przesuwając wzrokiem po zdjęciach.

Levi dodał:

– To pierwszy realny dowód. Miller przekazuje informacje dalej.

Zapadła chwila ciszy.

Dyrektor w końcu odłożył dokumenty i spojrział na nich z chłodnym spokojem.

– Dobrze.

Skoro mamy dowód, nie ma czasu do stracenia.

Przyśpieszamy działania.

Od tej chwili Miller jest priorytetem.

– Jego ton nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

– Każdy jego ruch, każde słowo musi być pod kontrolą.

Marek skinął głową.

– A jeśli się zorientuje?

– Wtedy dowiemy się szybciej, kim naprawdę jest

– odparł Dyrektor.

Yael zamknęła teczkę i wstała.

– Rozumiemy.

Dyrektor spojrzał po kolei na każdego z nich.

– Od jutra pracujecie także z Reedem. CIA musi wiedzieć, co mamy.

On przyjedzie rano.

Trójka wymieniła spojrzenia.

Decyzja zapadła.

Wieczór

– po spotkaniu z Dyrektorem

Yael siedziała w samochodzie przed restauracją.

Patrzyła na telefon, na którym świeciła wiadomość od Daniela Korena:

„Przepraszam, coś wypadło. Spotkamy się innym razem.”

Żadnego szczegółu, żadnego wyjaśnienia

– tylko krótki komunikat, który wydał się jej boleśnie obojętny.

Westchnęła, odłożyła telefon i przez chwilę patrzyła w ciemne ulice Tel Awiwu.

Zamiast wracać do domu, skierowała się do siedziby Mossadu.

Znała siebie

– wiedziała, że i tak nie zaśnie, a w głowie będzie tylko kłębić się gniew i zawód.

Zatrzymała się przed drzwiami pokoju Marka i zapukała.

– Wejść

– usłyszała.

Marek siedział przy biurku, przeglądał jakieś notatki, ale kiedy zobaczył ją w progu, odłożył papiery.

– Co się stało?

– spytał, widząc jej minę.

Yael wzruszyła ramionami i usiadła na łóżku.

– Nic wielkiego.

Miałam spotkanie.

Odwołane. Bez powodu.

Marek przyjrzał się jej chwilę, po czym podał jej butelkę wody.

– Wiesz, zawsze mi się wydawało, że agenci Mossadu są niezniszczalni.

– Myślałeś źle

– uśmiechnęła się krótko, pierwszy raz tego dnia szczerze.

– Niezniszczalni jesteście tylko w raportach.

Przez chwilę panowała cisza.

– A ty?

– zapytała nagle.

– Masz kogoś w Warszawie, kto czeka?

Marek pokręcił głową.

– Praca zabrała mi więcej, niż chciałem oddać.

– Zawahał się i dodał:

– Zostały tylko wspomnienia i kilka zdjęć.

Yael spojrzała na niego inaczej niż zwykle

– nie jak na „Lisa”, którego miała prowadzić, ale jak na człowieka.

– Może dlatego rozumiemy się lepiej, niż powinniśmy

– powiedziała cicho.

Marek uśmiechnął się półgębkiem.

– Albo gorzej, niż nam wolno.

Oboje wybuchnęli krótkim, rozładowującym śmiechem.

Na moment ciężar dnia zniknął

– byli tylko dwojgiem ludzi, którzy usiedli razem, by nie czuć się samotni.

Dzień Misji 3

Rano w pokoju operacyjnym panował porządek

– dokumenty ułożone w stosy, sprzęt gotowy, mapa podświetlona reflektorem.

Yael przyszła pierwsza, jak zwykle punktualnie, i sprawdzała jeszcze raz wczorajsze notatki.

Marek wszedł kilka minut później, trzymając w dłoni dwie kawy.

Postawił jedną przy niej, bez słowa. Spojrzała na niego i lekko uniosła brew.

– Nie mów, że zdążyłeś już poznać mój smak.

– Czarna, bez cukru.

Wczoraj zostawiłaś niedopitą na biurku

– odparł spokojnie.

Na moment ich spojrzenia spotkały się ponad parującym kubkiem.

To było krótkie, zwyczajne, a jednak ciepłe.

Po chwili oboje wrócili do swoich papierów, jakby nic się nie stało.

Drzwi otworzyły się z impetem i wszedł Levi.

– Reed jest na miejscu.

Dyrektor kazał go przyprowadzić tutaj.

Kilka minut później Jonathan Reed pojawił się w progu.

Elegancki, w ciemnym garniturze, z teczką pod pachą, wyglądał na kogoś, kto nie zna słowa „zmęczenie”.

Uśmiechnął się lekko.

– Widzę, że już weszliście głębiej w sprawę

– powiedział, odkładając teczkę na stół.

– To dobrze. Bo Miller nie jest sam.

Yael zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

Reed rozłożył dokumenty.

– Według naszych danych kontaktuje się nie tylko z terrorystami.

Jest jeszcze jeden kanał... ktoś z wewnątrz, kto ułatwia mu ruchy.

Marek pochylił się nad stołem.

– Drugi kret?

– Możliwe

– przytaknął Reed.

– Ale zanim wysnujemy wnioski, musimy to potwierdzić.

Atmosfera w pokoju zrobiła się cięższa.

Każdy z nich czuł, że gra wchodzi na nowy poziom.

Yael oparła dłonie na stole.

– To znaczy, że nie wystarczy obserwować Millera.

Musimy odkryć, kto jeszcze w Mossadzie gra po drugiej stronie.

Reed spojrzał na nią z uznaniem.

– Dokładnie.

I dlatego od dziś pracujemy razem, bez półsłówek.

Marek odruchowo zerknął na Yael

– zauważył w jej spojrzeniu determinację, ale też cień niepokoju.

Wiedział, że teraz muszą ufać sobie bardziej niż kiedykolwiek.

Reed rozłożył mapę Tel Awiwu i kilka dokumentów.

– Nie złapiemy Millera, jeśli będziemy go tylko śledzić.

Musimy rozdzielić zadania.

Yael skinęła głową.

– Konkrety.

– Marek i ty

– Reed spojrzał na nich oboje

– obserwujecie Millera na żywo.

Musicie złapać każdy jego ruch, każde spotkanie.

Nie odstępujecie go na krok.

Marek poczuł ciężar zadania, ale nie zaprotestował.

Spojrzał na Yael

– ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, jakby oboje chcieli się upewnić, że są na to gotowi.

– Levi

– Reed odwrócił się w jego stronę

– twoje zadanie to archiwa.

Kop w danych.

Szukaj śladów drugiego kanału.

Kto jeszcze oprócz Millera ma dostęp do tych informacji?

Kto mógłby je wyprowadzać?

Levi kiwnął głową.

– To lubię.

– Ja – dodał Reed

– skoordynuję wymianę informacji z CIA.

Jeśli jest drugi kret, musimy sprawdzić, czy nie ma go też w naszych strukturach.

Yael skrzyżowała ramiona.

– A jeśli Miller się zorientuje?

Reed uśmiechnął się lekko, ale bez ciepła.

– Wtedy sięgnie po swojego współnika.

I to właśnie ten moment musimy wychwycić.

W pokoju zapadła cisza, ciężka i pełna napięcia.

– To co

– Marek odsunął krzesło

– zaczynamy.

Yael skinęła głową.

– Zaczynamy.

Obserwacja Millera

Miller nie był sam. Od chwili, gdy pojawiły się podejrzenia, Mossad przypiął mu ogon

- zmieniający się co kilka godzin zespół obserwacyjny, dyskretny i niewidoczny.
- On wie, że ktoś na niego patrzy
- mruknął Marek, siedząc w samochodzie z Yael, zaparkowanym dwie ulice dalej.
- To właśnie nasza przewaga
- odparła spokojnie.
- My nie jesteśmy częścią jego rutyny.

Na monitorze podłączonym do centralnej bazy obserwacyjnej pojawiło się nagranie

- Miller wychodził z budynku Mossadu, wsiadał do samochodu i ruszał w stronę północnego Tel Awiwu.
- Kolejna rutyna?
- spytał Marek.

Yael potrząsnęła głową.

- Właśnie nie.

Zazwyczaj o tej porze wraca do domu.

Samochód Millera zatrzymał się na stacji benzynowej.

Z pozoru zwykły postój – paliwo, kawa, drobne zakupy.

Ale kamera wychwyciła, jak przy dystrybutorze podszedł do niego mężczyzna w sportowej kurtce.

Nie wymienili ani słowa, a jednak ręce obu mężczyzn spotkały się na ułamek sekundy

– wystarczająco, by przekazać niewielką paczkę.

– To jest to

– szepnął Marek.

– To nie paliwo, to przekaz.

Yael nie odrywała oczu od ekranu.

– Przechwycimy go.

Ale nie dziś.

Jeszcze nie mamy pełnego obrazu.

Miller odjechał jakby nigdy nic, a obserwatorzy z Mossadu wrócili do swojej rutyny.

Marek spojrzał na Yael.

– Więc co teraz?

– Teraz

– odpowiedziała chłodno

– obserwujemy dalej.

I czekamy, aż popełni większy błąd.

Pokój operacyjny

– analiza nagrania

Kiedy Marek i Yael wrócili, Reed i Levi już czekali przy stole.

Na monitorze zatrzymany kadr

– Miller przy dystrybutorze, obok niego mężczyzna w sportowej kurtce.

– Widzieliśmy to na żywo

– zaczął Marek.

– Z pozoru zwykły postój.

Ale przekaz był jasny.

Yael podeszła do ekranu i włączyła nagranie w zwolnionym tempie.

Wszyscy patrzyli, jak ręce Millera i nieznanego mężczyzny spotykają się na krótką chwilę.

Widać, że coś niewielkiego przechodzi z jednej dłoni do drugiej.

– Paczka

– powiedział Levi.

– Albo nośnik danych.

– Nie papieros ani moneta

– dodał Reed.

– Za szybki i zbyt pewny ruch.

Yael zatrzymała obraz i powiększyła twarz nieznanego.

Kamera nie dawała idealnego obrazu, ale rysy były wyraźne

– ciemne włosy, broda kilkudniowa, spojrzenie nerwowe.

– Kto to?

– zapytała.

Levi pochylił się nad monitorem.

– Sprawdzę w bazach. Jeśli to ktoś z kartoteki, wyciągnę dane.

Reed podszedł bliżej.

– Patrzcie na Millera.

Żadnego stresu, żadnego rozglądania się.

Jakby robił to nie pierwszy raz.

Marek skrzyżował ramiona.

– Co oznacza, że takich spotkań mogło być więcej.

W pokoju zapadła cisza.

Yael odezwała się jako pierwsza.

– To nie jest już tylko podejrzenie.

To wzór. Miller gra po ich stronie i jest w tym zbyt pewny, by to była jednorazowa akcja.

Reed skinął głową.

– Zgadza się.

Teraz musimy dowiedzieć się, dla kogo gra.

Pokój operacyjny

– identyfikacja

Levi szybko odpalił bazę danych.

Kilka kliknięć, porównanie twarzy z nagraniem i w końcu system zwrócił wynik.

– Mamy go

– powiedział, mrużąc oczy.

– Nazywa się David Cohen. Analityk, średni szczebel.

Pracuje przy obróbce danych z podsłuchów zagranicznych.

Yael uniosła brew.

– Analityk? To by tłumaczyło, dlaczego Miller się z nim spotyka.

Reed spojrział w ekran, jego głos był zimny.

– Ale analitycy nie prowadzą wymian na stacjach benzynowych.

Levi przerzucił kilka zakładek, aż znalazł raport personalny.

– O proszę... Cohen był kiedyś zamieszany w sprawę hazardową.

Długi. Sprawa zamieciona, ale wygląda na to, że ktoś to odgrzebał.

Marek skinął głową.

– Czyli Miller go szantażuje.

Wciągnął go w tę grę, bo wiedział, że Cohen nie ma wyjścia.

Yael zacisnęła wargi.

– I w ten sposób Miller ma kogoś od środka, kto może podsuwać lub wynosić dane bez wzbudzania podejrzeń.

Reed podsumował chłodno:

– Cohen to nie kret z wyboru.

To pionek. Ale pionek, przez którego mogą się wysypać całe operacje.

W pokoju zapadła cisza.

Teraz mieli już dwa elementy układanki

– Millera i człowieka, którego trzymał w garści.

– Musimy zdecydować

– odezwała się Yael.

– Czy od razu go ściągamy, czy próbujemy pociągnąć za jego nici, żeby zobaczyć, dokąd prowadzą.

Spotkanie Reeda z Cohenem

Wieczorem Reed wyszedł sam, nie mówiąc nikomu poza Yael, dokąd się udaje.

W jego stylu było działać cicho i skutecznie.

Zorganizował spotkanie w małej kawiarni na obrzeżach Tel Awiwu, gdzie nie było kamer Mossadu ani znajomych twarzy.

Cohen usiadł naprzeciwko Reeda, nerwowo ściskając filiżankę.

– Nie powinienem tu być...

– wyszeptał.

Reed spojrzał na niego chłodno, głos miał spokojny, ale twardy.

– Słuchaj uważnie, Cohen.

Wiem o twoich długach. Wiem, że Miller cię szantażuje.

Wiem, że przekazałeś mu dane z archiwów.

Analitik pobladł.

– To... nieprawda.

Reed pochylił się bliżej.

– Nie udawaj.

Jeśli Mossad się dowie, zdejmą cię w jeden dzień.

Ale ja mogę sprawić coś gorszego.

Cohen uniósł na niego przestraszone oczy.

– Gorszego?

– CIA ma miejsca, o których nigdy nie słyszałeś.

Więzienia, których nie ma na mapach.

Jak tam trafisz, znikniesz na zawsze.

Bez nazwiska, bez historii, bez grobu.

Nawet twoja rodzina nie dowie się, że żyjesz.

– Reed mówił powoli, każde słowo wbijało się w umysł Cohena jak gwoździe.

– I wierz mi, Cohen, jeśli dalej będziesz grał z Millerem, tam właśnie skończysz.

Dłonie analityka zaczęły drżeć, oczy miały rozszerzone ze strachu.

– Czego... czego chcesz ode mnie?

– Współpracy

– odpowiedział Reed bez wahania.

– Masz mi dawać wszystko, co Miller od ciebie żąda.

Notatki, daty, dane.

Każdy szczegół.

Będziesz moimi oczami i uszami.

To twoja jedyna szansa, żeby przeżyć.

Cohen zamilkł.

Kilka sekund trwała walka w jego głowie, aż wreszcie spuścił wzrok i wyszeptał:

– Dobrze... zrobię, co każesz.

Reed oparł się w fotelu, a na jego twarzy pojawił się cień satysfakcji.

– Witaj w prawdziwej grze, Cohen.

Pokój operacyjny

– raport Reeda

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Reed.

Zdjął marynarkę, odwiesił ją na oparcie krzesła i usiadł przy stole naprzeciwko Marka, Yael i Leviego.

Na jego twarzy malował się spokój, ale w spojrzeniu kryła się stal.

– I?

– odezwała się Yael, krzyżując ramiona.

Reed oparł dłonie na stole.

– Cohen jest nasz.

Levi uniósł brew.

– Tak po prostu?

– Tak

– odparł Reed chłodno.

– Powiedziałem mu, jakie ma opcje.

Albo współpraca, albo zniknie z tego świata, tak że nikt się nie dowie, gdzie się podział.

Wybrał życie.

Marek zmarszczył brwi.

– Możemy mu ufać?

Reed spojrzał mu prosto w oczy.

– Ufać? Nie. Kontrolować? Tak.

Strach to lepszy gwarant niż lojalność.

Cohen będzie nam dostarczał wszystkie informacje, jakie Miller od niego wymaga.

Yael pochyliła się nad stołem.

– Czyli mamy kogoś w środku.

– Dokładnie

– potwierdził Reed.

– I to pierwszy realny krok, żeby złapać Millera na gorącym uczynku.

Levi milczał przez chwilę, a potem skinął głową.

– To daje nam przewagę.

Ale pamiętajcie, Miller nie jest głupi.

Jeśli wyczuje, że Cohen gra podwójnie, spali go bez wahania.

– Dlatego

– dodał Reed

– wszystko, co przekaze Cohen, przechodzi przez nas.

Nikt inny w Mossadzie nie może się dowiedzieć.

W pokoju zapadła cisza.

Trójka spojrzała na siebie, a potem na Reeda.

Wszyscy wiedzieli, że właśnie zyskali cichego sojusznika

– złamanego człowieka, który stał się ich narzędziem w grze.

Yael odezwała się jako pierwsza.

– Dobrze. Od tej chwili Cohen pracuje dla nas.

Ale pamiętaj, Jonathan

– jeśli to wyjdzie na jaw, nie tylko on spłonie.

My też.

Reed uśmiechnął się chłodno.

– Wiem. I dlatego właśnie wygramy.

Po raporcie Reeda w pokoju operacyjnym zapadła cisza.

Każdy miał świadomość, że zyskali nową przewagę, ale też nowy ciężar

– złamanego człowieka, którego życie teraz wisiało na włosku.

Yael zamknęła teczkę z dokumentami i wsunęła ją do sejfów w ścianie.

– Na dziś wystarczy. Jutro ustalimy, jak wykorzystać Cohena.

Levi wstał, przeciągnął się i ziewnął przeciągle.

– Dobrze mówisz. Nie ma sensu mieć tego w kółko.

Marek jeszcze chwilę patrzył na ekran komputera,

na którym zatrzymany obraz pokazywał moment przekazania paczki na stacji benzynowej.

– To dopiero początek – mruknął, bardziej do siebie niż do innych.

Reed spojrzał na niego chłodno.

– I właśnie dlatego musimy być o krok przed nimi.

Po opuszczeniu pokoju operacyjnego każdy poszedł w swoją stronę.

Reed zniknął w swoim pokoju, Levi wrócił do biura z raportami.

Yael zamiast do kwatery udała się na siłownię.

Potrzebowała spalić napięcie

– bieżnia, ciężary, trochę boksu na worku.

To był jej sposób, by oczyścić głowę po dniu pełnym presji.

Marek, mijając korytarz, usłyszał echo uderzeń i odgłos pracującego sprzętu.

Zatrzymał się na moment, a potem skręcił w stronę drzwi z napisem Gym.

Stał w progu.

Siłownia była przestronna, dobrze wyposażona

– rzędy maszyn, wolne ciężary, worki treningowe.

Przy jednym z nich Yael zadawała kolejne mocne ciosy, rytmiczne, precyzyjne.

Marek uśmiechnął się pod nosem.

Może w końcu czas sprawdzić to miejsce, o którym tyle słyszałem.

Podszedł do jednej z maszyn i zaczął ćwiczyć, udając, że całkowicie skupia się na sobie.

Po chwili ich spojrzenia spotkały się w lustrze wiszącym na ścianie.

Yael uniosła brew, ale na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Wreszcie się skusiłeś?
- Słyszałem, że to najlepsze miejsce w budynku
- odpowiedział Marek, chwytając za sztangę.
- Chciałem się przekonać, czy to prawda.
- Zobaczymy, czy dotrzymasz tempa
- rzuciła, wracając do swojego treningu.

Było w tym coś zupełnie innego niż w biurze

- mniej oficjalnego tonu, więcej normalności.

Niewinne spotkanie, ale w powietrzu unosiła się subtelna nuta bliskości, której oboje jeszcze nie chcieli nazwać.

Marek wykonywał kolejne powtórzenia na maszynie, ale kątem oka obserwował, jak Yael okłada worek treningowy.

Jej ciosy były mocne, rytmiczne, pełne determinacji, choć czasem brakowało im precyzji.

Odłożył ciężary, wytarł dłonie w ręcznik i ruszył w jej stronę.

Zatrzymał się tuż za nią.

- Mocne uderzenia
- powiedział spokojnie
- ale możesz je zrobić jeszcze celniejsze.

Yael spojrzała przez ramię, lekko zaskoczona, ale nie odsunęła się.

Marek stanął blisko, uniósł jej dłonie i delikatnie poprawił ułożenie nadgarstków.

- Patrz.

Nie tylko siłą.

Kierunek i kontrola.

Razem poprowadził jej rękę, pokazując ruch. Ich oddechy na moment się zgrały, a bliskość sprawiła, że cisza w siłowni wydała się gęstsza niż wcześniej.

Yael uderzyła ponownie.

Cios był bardziej celny, mocniejszy, a przy tym płynniejszy.

- Lepiej?
- zapytał Marek, odsuwając się o krok.
- Lepiej
- odpowiedziała krótko, ale w jej głosie dało się słyszeć coś więcej niż tylko suchość profesjonalistki.

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, w spojrzeniach czaiło się coś, czego żadne z nich nie chciało jeszcze nazwać.

Yael odwróciła się z powrotem do worka i zadała kolejny cios.

– Dobrze, Nowicki. Jeszcze cię czegoś nauczę.

Marek uśmiechnął się lekko.

– Trzymam cię za słowo.

Dzień Misji 4

Rano w pokoju operacyjnym panowała cisza.

Marek pojawił się pierwszy, tym razem punktualnie.

Zaparzył kawę dla siebie i

– bez słowa

– drugą dla Yael.

Postawił kubek na jej miejscu, tak samo jak poprzedniego dnia.

Kilka minut później weszła do środka.

Spojrzała na kubek, potem na niego

– i uśmiechnęła się krótko.

– Uczysz się szybko.

– Wczoraj miałem dobrą nauczycielkę

– rzucił półgębkiem, a w jej spojrzeniu pojawił się cień wspomnienia z siłowni.

Zanim cisza zdążyła zrobić się zbyt gęsta, drzwi otworzyły się i wszedł Levi, a zaraz za nim Reed.

Obaj mieli poważne miny.

Reed od razu rozłożył na stole świeże dokumenty.

– Cohen dostarczył nam pierwsze informacje.

Miller szykuje kolejne spotkanie.

Tym razem nie na stacji, tylko w magazynie na obrzeżach Jerozolimy.

Yael pochyliła się nad mapą.

– Kiedy?

– Dwa dni

– odpowiedział Reed.

– Ale to nie wszystko.

Cohen twierdzi, że Miller nie działa sam.

Ma wsparcie kogoś, kto ma dostęp do operacji międzynarodowych.

Marek zmarszczył brwi.

– Czyli to większe niż myśleliśmy.

Levi przytaknął.

– Jeśli to prawda, ktoś na górze może chronić Millera.

Yael spojrzała na nich wszystkich.

– To oznacza jedno.

Nie możemy ufać nikomu poza nami czwórką.

W pokoju zapadła cisza.

Reed wyprostował się, jego głos był stanowczy:

– To nie jest już tylko kwestia złapania kreta.

To walka z całym układem.

Akcja

– magazyn pod Jerozolimą

Dwa dni później zespół działał już w pełnej gotowości.

Mossad obstawił teren, a Marek i Yael obserwowali wejście do magazynu z ukrytego punktu.

Spotkanie przebiegło szybko

– Miller nie pojawił się osobiście, ale jego ludzie odebrali przesyłkę i przekazali ją dalej.

Kamera w ukrytym dronie zarejestrowała każdy detal: twarze, samochody, numery tablic.

Wszystko poszło zgodnie z planem

– żadnych strzałów, żadnych niespodzianek.

Paczka została przechwycona w drodze powrotnej, a jej zawartość nie pozostawiała złudzeń:

plany dostaw broni i kontakty z ugrupowaniami terrorystycznymi.

Pokój operacyjny – wnioski

Kilka godzin później cała czwórka siedziała przy stole, a nagrania z akcji odtwarzane były na ekranie.

– Miller coraz ostrożniejszy

– powiedział Reed, mrużąc oczy.

– Sam się nie pokazuje.

Używa pośredników, zmienia miejsca spotkań.

Levi wertował dokumenty.

– Ale mamy twarze i numery.

To nam wystarczy, żeby powiązać go z dostawami.

Yael oparła dłonie na stole.

– A jednak wciąż wymyka się nam osobiście.

Jeśli chcemy go zdjąć, musimy go zmusić, żeby sam się odsłonił.

Marek dodał cicho:

– Im dłużej gra, tym bardziej się odsłania.

W końcu popełni błąd.

Reed spojrzał na nich stanowczo.

– Dlatego od tej chwili Miller jest jedynym celem.

Pętla się zaciska.

Zapadła cisza.

Wszyscy wiedzieli, że teraz każdy kolejny krok będzie już prowadził do finału.

Na ekranie zatrzymał się kadr

– ludzie Millera wynoszący paczkę z magazynu.

Reed wyłączył nagranie i spojrzał na resztę.

– Mamy ich.

Ale to wciąż tylko jego pionki.

Levi westchnął.

– Miller bawi się z nami w szachy.

Wypycha naprzód figury, a sam siedzi bezpiecznie z tyłu.

Yael oparła się o stół.

– Jeśli chcemy go dorwać, musimy zmienić zasady gry.

Marek podniósł wzrok.

– Co masz na myśli?

– Sprowokować go

– odpowiedziała spokojnie.

– Zmusić, żeby sam wszedł na planszę.

Reed skinął głową.

– Dokładnie. Ale jak?

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

W końcu Levi rzucił:

– Cohen.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu.

– Miller go wykorzystuje

– kontynuował.

– Jeśli podsunie mu spreparowaną informację, Miller będzie musiał to sprawdzić osobiście.

To może być nasza szansa.

Yael powoli kiwnęła głową.

– Fałszywy trop.

Coś, czego nie może zignorować.

Marek dodał:

– Ale musimy go zagrać tak, żeby wyglądało wiarygodnie.

Jeśli Miller poczuje podstęp, spali Cohena i zamknie się jeszcze bardziej.

Reed spojrzał na każdego z nich po kolei.

– To ryzyko. Ale jeśli chcemy go złapać, musimy zaryzykować.

Zapadła cisza, ciężka i pełna napięcia.

Yael przełamała ją krótkim zdaniem:

– Przygotujemy dla Cohena wiadomość.

Jeśli Miller się złapie, wreszcie będziemy mieć go tam, gdzie chcemy.

Pokój operacyjny

– późny wieczór

Mapa Tel Awiwu leżała rozwinięta na stole, obok niej zdjęcia z magazynu i przechwycone dokumenty.

Atmosfera była napięta, ale już nie z powodu samej akcji

– teraz chodziło o kolejny krok.

Yael odsunęła krzesło.

– Dobrze, skoro wiemy, że Miller korzysta z Cohena, to musimy mu dać coś, czego nie zignoruje.

– Broń

– rzucił Marek.

– Falszywy raport o dużym ładunku.

Levi dopowiedział:

– Albo informacja o nowym kanale przerzutowym.

Taka, która wygląda na pewną i wartościową.

Reed spojrzał na nich chłodno.

– Musi być wiarygodna. Jeśli Miller poczuje, że to pułapka, spali Cohena i zamknie się na dobre.

Marek nachylił się nad mapą.

– Czyli... coś prawdziwego, ale przekręconego.

Yael kiwnęła głową.

– Dokładnie.

Wykorzystamy prawdziwe dane, które i tak są w naszych rękach.

Dorzucimy do nich „błąd” – pozorny, ale taki, który Miller będzie musiał sprawdzić osobiście.

Levi spojrzał na Reeda.

– Cohen da radę to sprzedać?

Reed odparł krótko:

– Po tym, co mu powiedziałem, zrobi dokładnie to, co mu każę.

W pokoju zapadła cisza.

Wszyscy wiedzieli, że ryzykują.

Yael zamknęła teczkę z dokumentami i powiedziała tonem, który nie pozostawiał wątpliwości:

– Jutro Cohen przekaze Millerowi fałszywą informację.

Jeśli to kupi, w końcu go złapiemy.

Reed podsumował zimno:

– Albo wszyscy spłoniemy razem z nim.

Dzień Misji 5

Poranek w pokoju operacyjnym pachniał świeżą kawą i nerwowym napięciem.

Na stole leżała teczka z przygotowanymi dokumentami

– prawdziwymi danymi, sprytnie zmodyfikowanymi tak, by prowadziły Millera w stronę pułapki.

Yael przeglądała je po raz kolejny.

– Wygląda wiarygodnie.

Jeśli Miller to łyknie, sam się odsłoni.

Marek skinął głową.

– Tylko musi trafić do niego w idealnej formie.

Reed zamknął teczkę i wstał.

– Dlatego zajmę się tym ja.

Cohen przekaze mu tę informację tak, jakby to była kolejna rutynowa notatka.

Ani słowa więcej, ani mniej.

Levi spojrzał na niego poważnie.

– A jeśli się wyłamie?

Reed uśmiechnął się chłodno.

– Nie wyłamie się. Wie, co go czeka, jeśli zawiedzie.

Yael przecięła napięcie krótkim zdaniem:

– Cohen nie może wiedzieć, że to pułapka.

On ma grać swoją rolę jak zawsze.

Miller musi uwierzyć, że dostaje coś wartościowego, a nie że ktoś go prowadzi za rękę.

Marek przesunął palcem po mapie, gdzie zaznaczono fikcyjny punkt przerzutu. – I co dalej?

Reed odparł:

– Jeśli Miller połknie haczyk, będzie musiał pojawić się osobiście.

Nie wyśle pionków, jeśli uzna to za sprawę krytyczną.

To będzie nasza okazja.

W pokoju zapanowała cisza.

Każdy wiedział, że od tego jednego ruchu zależy cała operacja.

Yael zamknęła teczkę i spojrzała po kolei na wszystkich.

– Dobrze.

Dziś Cohen zagra swoją rolę.

A my będziemy gotowi, żeby złapać Millera, gdy się odsłoni.

Spotkanie Reeda z Cohenem

Reed czekał w tym samym miejscu co ostatnio

– małej kawiarni na obrzeżach Tel Awiwu.

Miał przed sobą filiżankę czarnej kawy i niewielką teczkę.

Cohen wszedł nerwowo, rozglądając się wokół.

Usiadł naprzeciwko, ściskając dłonie na kolanach.

– Dlaczego znów tu?

– zapytał, głos miał cichy i drżący.

Reed spojrzał na niego spokojnie, zimnym wzrokiem.

– Bo masz zadanie.

Otworzył teczkę i wysunął pojedynczą kartkę papieru

– fałszywą notatkę, starannie przygotowaną tak, by wyglądała jak autentyczny raport z danych wywiadowczych.

– To przekażesz Millerowi

– powiedział stanowczo.

– Niczego nie dodajesz, niczego nie komentujesz.

Masz to powtórzyć dokładnie tak, jak zawsze.

Rutyna, rozumiesz?

Cohen spojrzał na dokument, potem na Reeda.

– A jeśli się zorientuje?

Reed pochylił się lekko do przodu, jego ton stwardniał.

– Wtedy twój koniec będzie szybszy, niż myślisz.

Ale jeśli zrobisz to dobrze, przeżyjesz.

Miller uwierzy, a ty wyjdiesz z tego czysto.

Cohen przeknął ślinę, ręce mu drżały, ale skinął głową.

– Zrobię to.

Reed podał mu dokument.

– Właśnie tak.

Nie myśl, nie kombinuj.

Po prostu odegraj swoją rolę.

Cohen wziął kartkę i schował ją do teczeki.

– A jeśli zapyta, skąd to mam?

– Powiedz, że z tego samego źródła co zawsze –
odparł Reed chłodno.

– On nie ma prawa w to wątpić.

Zapadła chwila ciszy.

Reed dopił kawę, odłożył filiżankę i dodał jeszcze jedno zdanie:

– To twoja ostatnia szansa, Cohen.

Nie zawieź mnie.

Cohen spuścił wzrok.

– Nie zawiodę.

Przekazanie informacji

Cohen siedział przy biurku w jednym z działów analitycznych Mossadu.

Stosy dokumentów, ekrany z danymi, rutynowy szum pracowników wokół – wszystko wyglądało jak zwyczajny dzień pracy.

Drzwi otworzyły się i wszedł Miller.

Jego krok był spokojny, twarz – jak zawsze – niewzruszona.

Rozejrzał się krótko po sali i podszedł do Cohena.

– Masz coś dla mnie?

– spytał tonem tak zwyczajnym, że dla obcego ucha brzmiałoby to jak pytanie o kawę.

Cohen poczuł, jak pot spływa mu po karku.

Otworzył szufladę, wyciągnął teczkę i podał ją Millerowi.

– Tak. Najnowsze dane z przechwyconych transmisji.

Miller spojrzał na niego uważnie, jakby ważył każdy gest.

Potem otworzył teczkę, przerzucił kartki, a przy fałszywej notatce zatrzymał się na dłużej.

– Skąd to?

– zapytał chłodno.

Cohen odpowiedział tak, jak kazał mu Reed.

– Od tego samego źródła co zawsze.

Informacja pojawiła się wczoraj.

Przez chwilę w powietrzu zawisła cisza, która wydawała się trwać wieczność.

Miller zamknął teczkę, spojrzał na Cohena jeszcze raz i bez słowa odszedł, chowając dokument pod pachę.

Cohen wypuścił powietrze, którego nie wiedział, że wstrzymywał.

Pokój operacyjny

– tego samego dnia

Reed, Marek, Yael i Levi siedzieli w ciszy, patrząc na ekran, gdzie ochrona pokazywała nagranie z kamer wewnętrznych.

Widzieli moment przekazania teczki, reakcję Millera, jego zimne spojrzenie.

Yael odchyliła się na krześle.

– Kupił to.

Marek spojrzał na nią.

– Pytanie tylko: co zrobi dalej?

Reed odpowiedział spokojnie, ale stanowczo:

– Teraz nie mamy już wątpliwości.

Miller nie może tego zignorować.

Musi sprawdzić trop osobiście.

Levi westchnął.

– Więc czekamy.

W pokoju znów zapadła cisza, ale tym razem była to cisza napiętego oczekiwania.

Finał

Wieczorem zespół siedział w pokoju operacyjnym, gdy nagle na ekranach monitorów pojawił się obraz z jednej z zewnętrznych kamer.

Miller wychodził z budynku Mossadu, sam, bez obstawy.

Yael pochyliła się nad stołem.

– Ruszył.

Reed od razu podjął decyzję.

– Jedziemy.

Samochód operacyjny śledził Millera w dyskretnej odległości.

Jechał prosto w kierunku miejsca, które podsunęli mu w fałszywej notatce.

Kiedy wysiadł z auta i wszedł na teren opuszczonego magazynu, teren był już obstawiony przez ludzi Mossadu.

Marek i Yael obserwowali przez noktowizory, Levi nadzorował akcję z samochodu.

– Cel na miejscu

– padł głos w słuchawkach.

– Czekamy na sygnał.

Miller obszedł wnętrze magazynu, sprawdzając każdy kąt.

Wyglądał na czujnego, ale i pewnego, że przyjechał po coś wartościowego.

Wtedy zapadła decyzja.

– Teraz.

Drzwi runęły z obu stron. Agenci Mossadu wpadli do środka, broń wycelowana.

Miller uniósł ręce, próbując zachować zimną krew, ale jego twarz zdradzała szok.

– Koniec gry

– rzuciła chłodno Yael, celując w niego z pistoletu.

Kilka minut później Miller siedział skuty kajdankami w samochodzie operacyjnym.

Przy przeszukaniu znaleziono przy nim telefon z listą kontaktów, zakodowane notatki i pendrive z plikami, które mogły pogрузić nie tylko jego, ale i całą siatkę.

Reed spojrzał na resztę, jego twarz była kamienna, ale w głosie pobrzmiwała satysfakcja.

– Mamy go.

I mamy wszystko, czego potrzebujemy.

Marek oparł się o siedzenie, czując, jak z jego barków spada ciężar ostatnich dni.

Yael zamknęła oczy na chwilę i powiedziała cicho:

– Pętla się zacisnęła.

Noc była długa. W pokoju operacyjnym stoły uginały się od zabezpieczonych materiałów

– teczki, pendrive'y, telefon Millera, a obok nich kilka paszportów na różne nazwiska.

Wszystko sugerowało, że był gotowy do ucieczki w każdej chwili.

Yael przekładała dokumenty jeden po drugim, układając je w logiczne stosy.

– Miał przygotowane trzy kierunki

– Europa, Ameryka Południowa i Azja. Zależało mu tylko na tym, żeby zniknąć.

Levi dorzucił paszport do sterty.

– Gdybyśmy się spóźnili o kilka dni, już by go tu nie było.

Marek wziął do ręki telefon zabezpieczony przez techników.

Ekran wciąż był zablokowany, ale lista ostatnich połączeń i wiadomości już została skopiowana.

– Kontakty, szyfry, cała siatka... to jest złoty klucz do tej sprawy.

Reed stał przy oknie, wpatrzony w nocne światła Tel Awiwu.

– A teraz musimy zdecydować, jak to rozegrać.

Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzał oficer.

– Dyrektor was wzywa. Obaj.

– Spojrzał na Reeda.

– Dyrektor CIA też jest na miejscu.

Kilka minut później Marek, Yael, Reed i Levi stali w gabinecie Dyrektora Mossadu.

Za biurkiem siedział on sam, a obok w fotelu Jonathan Bradley

– dyrektor CIA. Twarz miał poważną, ręce splecione na kolanach.

Na stole leżała teczka z raportem zatrzymania.

– Udało się

– zaczął Dyrektor Mossadu.

– Miller jest w naszych rękach.

Ale pytanie brzmi: co dalej?

Yael przesunęła w jego stronę zdjęcie paszportów.

– Był gotów uciec.

To nie jest człowiek, który będzie siedział cicho.

Musimy przesłuchać go natychmiast.

Bradley spojrzał na nią uważnie.

– I musicie być przygotowani na to, że nie powie wszystkiego.

Ludzie tacy jak on nigdy nie grają w otwarte karty.

Marek dorzucił do raportu telefon Millera.

– Może nie będzie musiał mówić.

To urządzenie i pliki na pendrive'ach mogą powiedzieć nam więcej, niż on sam kiedykolwiek zdradzi.

Dyrektor Mossadu oparł się w fotelu.

– Dobrze. Ale przesłuchanie i analiza danych muszą iść równolegle.

Nie możemy tracić czasu.

Bradley skinął głową.

– CIA włączy się w ten proces.

Miller grał na dwa fronty, więc to także nasza odpowiedzialność.

W gabinecie zapadła cisza.

Wszyscy wiedzieli, że teraz zaczyna się najtrudniejszy etap

– nie gonitwa za cieniem, ale próba wyciągnięcia prawdy od człowieka, który przez lata żył w kłamstwie.

Dyrektor Mossadu podsumował chłodno:

– Zaczynjcie. Miller czeka.

Rozdział 7

Przesłuchania

Przesłuchania Millera

Sala była chłodna i pozbawiona ozdób. Metalowy stół, dwa krzesła i kamera w rogu

– to wszystko.

Miller siedział z rękami skute kajdankami, próbując zachować pewność siebie.

Naprzeciwko niego usiadł agent Mossadu, otwierając teczkę.

– Cztery paszporty, różne nazwiska, gotówka w walizce, bilety lotnicze na trzy kierunki.

Do tego telefon z kontaktami, które powinny być poza pańskim zasięgiem.

Wygląda to jak przygotowania do ucieczki, panie Miller.

Miller uśmiechnął się krzywo.

– Paszporty? Standardowa procedura.

W mojej pracy trzeba być elastycznym.

– Elastycznym?

– agent uderzył palcami w stół.

— Czyli gotowym do dezercji?

Miller uniósł brwi.

— Nie nazywajcie tego dezercją.

To... alternatywna ścieżka działania.

Za szybą wenecką w ciszy obserwowali dyrektor Mossadu i dyrektor CIA.

Miller próbował zyskać na czasie, rzucał półsłówka, jakby wciąż wierzył, że uda mu się wyjść cało.

Drzwi otworzyły się cicho.

Do sali wszedł Dyrektor Mossadu.

Usiadł obok agenta i długo patrzył Millerowi w oczy.

— Panie Miller.

— Jego głos był spokojny, lecz lodowaty.

— Skończmy z grami. Mossad nie bawi się w półprawdy.

Dowody przeciwko panu są jasne.

Miller spróbował odpowiedzieć lekceważąco:

— Dowody bywają mylące.

A pan doskonale wie, że w naszej branży każdy może wyglądać na zdrajcę.

Dyrektor nachylił się nad stołem.

— Różnica polega na tym, że w pana przypadku nie musimy niczego interpretować.

Miller zamilkł, lecz w jego oczach pojawił się cień irytacji.

Nagle odezwały się kolejne kroki.

Do środka wszedł Dyrektor CIA.

Na twarzy miał wyraz bezwzględnej surowości.

— David, powiem wprost.

— Jego ton był ciężki, pozbawiony emocji.

— W tej chwili nie jesteś dla mnie oficerem CIA.

Jesteś podejrzanym.

Jeśli masz coś do powiedzenia na swoją obronę, to teraz.

Bo potem zostaną tylko raporty i wyroki.

Miller spróbował jeszcze raz, jakby kurczowo trzymał się resztek arogancji:

— Panie Dyrektorze, to pomyłka.

Zawsze działałem dla dobra operacji, a te paszporty... to tylko zabezpieczenie.

Dyrektor CIA przerwał mu w pół zdania:

— Zabezpieczenie to jest kamizelka kuloodporna.

Nie cztery paszporty, walizka gotówki i bilety na trzy kontynenty.

Zapadła cisza.

Miller opuścił wzrok na stół.

Pierwszy raz jego pewność siebie wyraźnie się zachwiała.

Agent Mossadu zamknął teczkę i powiedział chłodno:

— Wszystkie materiały dowodowe są przeciwko panu.

I choć próbuje pan kręcić, tego nie da się już odwrócić.

Za szybko notowano każde słowo.

W tej chwili stało się jasne, że Miller z tej sytuacji się nie wywinie.

Przesłuchanie dobiegło końca, a Miller został odprowadzony do celi.

Jego słowa brzmiały jak desperackie próby wyjścia z pułapki, w którą sam się zapędził.

Dokumenty, paszporty, telefony

— wszystko świadczyło przeciwko niemu.

Ale to, co znaleziono przy nim i w jego notatkach, miało znacznie większe znaczenie.

Była to akcja na szeroką skalę, w którą zaangażowane były Mossad, CIA i inne służby sojusznice.

Aresztowanie Millera było tylko jednym z elementów większej układanki.

Czy dotarli do końca? Jeszcze nie.

Nikt nie mógł powiedzieć, czy sprawa kończyła się na Millerze, czy sięgała wyżej

— do struktur, o których istnieniu nawet nie chciano głośno mówić.

Każde kolejne przesłuchanie, każdy nowy dowód znaleziony w jego notatkach, mógł stać się kluczem do rozwikłania sieci powiązań, która oplatała nie tylko.

Bliski Wschód, ale i Europę.

Następnego dnia

Marek wstał wcześniej, zanim jeszcze korytarze ośrodka wypełniły się odgłosami pracy.

Z kubkiem gorącej kawy w dłoni usiadł przy biurku i wybrał numer szyfrowanej linii do Warszawy.

Po kilku sygnałach odezwał się dyżurny oficer, a chwilę później jego przełożony.

Marek spokojnym tonem złożył pełny raport z zatrzymania Millera i przesłuchania.

Podkreślił, że współpraca z Mossadem układa się poprawnie i że wszystkie nowe ustalenia będą natychmiast przekazywane do centrali.

— Będę w stałym kontakcie, panie pułkowniku.

Każdy postęp, każda informacja

— wszystko pójdzie od razu do Warszawy

— zakończył.

Gdy odłożył słuchawkę, poczuł znajomy ciężar odpowiedzialności.

Teraz nie pracował tylko dla siebie ani nawet tylko dla Mossadu

— w grę wchodził honor jego własnej służby.

W tym samym czasie Yael i Levi siedzieli w pokoju analitycznym.

Na stole leżały rozłożone paszporty, telefony i notatki Millera.

Levi kartkował dokumenty z kamienną twarzą, a Yael zaznaczała czerwonym markerem fragmenty mogące prowadzić do kolejnych kontaktów.

— Tu coś jest nie tak

— mruknął Levi, przesuwając jeden z numerów na marginesie notatnika.

— To wygląda jak kod, nie zwykły zapis.

Yael skinęła głową.

— Sprawdzimy to w pierwszej kolejności.

Reed tymczasem wrócił do swoich codziennych obowiązków.

Zajmował się koordynacją działań logistycznych i raportami dla CIA.

Choć oficjalnie miał być na uboczu, co chwila zaglądał do sali analitycznej, upewniając się, że nic mu nie umyka.

Atmosfera w ośrodku była ciężka, pełna skupienia.

Wszyscy wiedzieli, że przesłuchanie Millera było dopiero początkiem

— a prawdziwa gra dopiero się zaczynała.

Marek zaraz po śniadaniu zadzwonił do Centrali w Warszawie.

Przez szyfrowaną linię złożył pełny raport i poinformował, że będzie w stałym kontakcie, przekazując wszystkie postępy.

Krótkie „przyjęto” z drugiej strony wystarczyło, by wiedział, że jego słowa zostały odnotowane.

W tym czasie Yael i Levi zajęli się wstępnym porządkowaniem dowodów – paszportów, notatek i telefonu Millera.

Jednak już po kilku godzinach dokumenty trafiły do rąk zespołu analityków Mossadu.

W sterylnym pokoju, pełnym komputerów i ekranów, kilku oficerów pochylało się nad raportami.

Jedni rozpracowywali połączenia telefoniczne, inni analizowali zapiski w notatniku, próbując rozszyfrować skróty i numery.

– Każdy fragment, każda kartka jest potencjalnym tropem

– powiedział szef zespołu analitycznego, przesuając plik kserokopii na środek stołu.

– Musimy znaleźć powiązania, które wyjaśnią, jak daleko sięga ta siatka.

Yael i Levi obserwowali z boku, wchodząc tylko wtedy, gdy padało pytanie wymagające operacyjnego doświadczenia.

Teraz to analitycy mieli wykonać najcięższą pracę

– układać puzzle, które Miller zostawił za sobą.

Marek z kolei dostał chwilę wytchnienia.

Wrócił do swojego pokoju, ale wiedział, że to cisza przed burzą.

Każdy raport analityków mógł otworzyć nowy rozdział tej sprawy.

Wyniki pracy analityków Mossadu

W pokoju analitycznym panowała skupiona cisza, przerywana tylko stukotem klawiatur i szelestem przewracanych kartek.

Na ścianie wyświetlono mapę z zaznaczonymi punktami

– numery telefonów, adresy, daty i nazwiska zaczynały układać się w gęstą siatkę połączeń.

Szef zespołu analityków uniósł głowę znad monitora.

– Zatrzymajcie się na chwilę.

To nazwisko pojawia się już trzeci raz

– wskazał czerwonym markerem wydrukowany fragment notatnika Millera.

Na kartce, obok szyfrów i skrótów, wyraźnie widniało nazwisko Karim Al-Hassan.

– Kim on jest?

– zapytała Yael, podchodząc bliżej.

– Według naszych baz danych

– odparł analityk, klikając szybko na klawiaturze

– powiązany z jedną z fundacji humanitarnych działających w Europie.

Ale w praktyce to przykrywka.

Od lat podejrzewamy, że fundacja jest używana do prania pieniędzy i transferu ludzi.

Levi zmrużył oczy.

— Jeśli Miller miał z nim kontakt, to znaczy, że nie działał sam.

Szef analityków skinął głową.

— I to dopiero początek.

W dokumentach są też adnotacje o spotkaniach w Paryżu i Stambule.

Zaczynamy sprawdzać szczegóły.

Marek, który wszedł właśnie do sali, spojrzał na tablicę z mapą.

Wiedział, że to nie jest przypadkowe nazwisko.

Miller był tylko trybem, a teraz otwierała się droga do czegoś znacznie większego.

— Trzeba natychmiast poinformować centralę

— powiedział cicho, bardziej do siebie niż do reszty.

— Sprawa nie kończy się na Millerze.

Spotkanie Dyrektorów

Gabinet Dyrektora Mossadu był pogrążony w półmroku.

Na biurku leżały świeżo dostarczone raporty analityków, a na ścianie wisiała mapa z czerwonymi pinezkami.

Atmosfera była ciężka, każdy wiedział, że sprawa Millera właśnie nabiera nowego wymiaru.

Dyrektor Mossadu przeglądał dokumenty, gdy wszedł Dyrektor CIA.

Bez słowa usiadł naprzeciwko, spojrzenie miał chłodne, lecz napięte.

— Karim Al-Hassan

— zaczął Dyrektor Mossadu, stukając palcem w raport.

— To nazwisko pojawia się w notatkach Millera wielokrotnie.

Nasze analizy wskazują na powiązania z fundacją w Europie, oficjalnie humanitarną.

W praktyce... pralnia pieniędzy, kanał przerzutowy, być może nawet ośrodek kontaktowy.

Dyrektor CIA zmrużył oczy.

— I pan chce mi powiedzieć, że Miller miał z nim bezpośredni kontakt?

— Na to wygląda.

— Mossad przesunął kartkę z zaznaczonymi datami i miejscami spotkań.

— Paryż, Stambuł, nawet Berlin.

To nie są przypadkowe notatki.

CIA skinął głową powoli, jakby układał w głowie nowy obraz całej układanki.

— Jeśli to prawda, oznacza to, że Miller nie był samowolnym graczem.

Był elementem większej siatki.

— I to właśnie jest nasz największy problem

— odpowiedział Mossad.

— Nie wiemy jeszcze, jak wysoko to sięga.

Zapadła chwila milczenia.

Obaj dyrektorzy wiedzieli, że każde słowo zapisane w tych raportach oznacza konieczność otwarcia nowej operacji.

W końcu Dyrektor CIA odezwał się twardym tonem:

— Proponuję wspólną grupę zadaniową.

My damy ludzi i wsparcie logistyczne, wy macie informacje i tropy.

Musimy działać razem, bo inaczej to wymknie się spod kontroli.

Dyrektor Mossadu skinął głową.

— Zgoda.

Ale ostrzegam

— to nie będzie szybka operacja.

To może być dopiero początek.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwał jedynie odgłos przesuwanego po biurku raportu.

Decyzja zapadła: rozpoczynała się nowa faza gry.

Wezwanie do gabinetu

Kilka godzin po spotkaniu dyrektorów, Marek, Yael i Levi zostali wezwani do gabinetu Dyrektora Mossadu.

Wchodząc, od razu zauważyli mapę na ścianie

– z nowymi oznaczeniami, prowadzącymi przez Europę.

Dyrektor Mossadu wstał zza biurka.

Obok niego siedział Dyrektor CIA, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Atmosfera była poważna.

– Miller pozostaje w naszych rękach

– zaczął Dyrektor Mossadu chłodnym tonem.

– Jego przesłuchania będą kontynuowane przez naszych ludzi.

Wasza rola w tym wątku się kończy.

Marek skinął głową, nie protestował.

Czuł, że coś więcej kryje się w słowach dyrektora.

– Ale pojawił się nowy trop

– kontynuował Mossad, wskazując na mapę.

– Nazwisko Karim Al-Hassan.

Człowiek, który oficjalnie działa w fundacji humanitarnej,

w praktyce jednak powiązany jest z działalnością, której nie możemy ignorować.

Dyrektor CIA dodał:

– Miller był z nim w kontakcie.

Spotkania w Paryżu, Stambule, Berlinie. T

o nie przypadek.

To siatka, która może obejmować wiele krajów.

Levi wymienił spojrzenie z Yael.

Oboje wiedzieli, że właśnie dostają coś poważniejszego niż zwykła analiza papierów.

Dyrektor Mossadu przesunął po biurku teczkę w stronę Marka.

— Odtąd waszym zadaniem będzie sprawdzenie śladów Al-Hassana.

Paryż jest pierwszym punktem.

Tam znajdziecie odpowiedzi na pytania, które Miller stara się ukryć.

Marek wziął teczkę, czując ciężar decyzji.

— Rozumiem. Ruszamy od razu.

Dyrektor CIA skinął głową.

— Trzymajcie się razem. To nie będzie łatwa misja.

Gdy bohaterowie wyszli z gabinetu, wiedzieli, że właśnie rozpoczyna się nowy etap.

Miller był już przeszłością.

Teraz prawdziwe wyzwanie czekało ich na europejskich ulicach.

Rozdział 8

Misja w Paryżu

Paryż

Lotnisko Charles de Gaulle tętniło życiem, gdy Marek, Yael i Levi wysiedli z samolotu.

Tłum podróżnych, zapach kawy z pobliskich kawiarni i głośnie komunikaty w języku francuskim mieszały się w codziennym chaosie miasta.

Yael narzuciła na siebie długi płaszcz, zakładając ciemne okulary.

Levi sprawdzał w telefonie najnowsze informacje od analityków, a Marek rozglądał się czujnie

– jak zawsze, gdy trafiał w obce miejsce.

— Witamy w Paryżu

– mruknął Marek półgłosem.

– Miasto światła... i, jak widać, nowych kłopotów.

Levi skinął głową.

– Analitycy wskazali trzy miejsca, które mogą być kluczowe.

Pierwsze to biuro fundacji Al-Hassana w dzielnicy biznesowej.

Drugie – restauracja, w której według Millera dochodziło do spotkań.

Trzecie – prywatny adres powiązany z jednym z jego współpracowników.

Yael uśmiechnęła się lekko.

— To znaczy, że mamy pełny dzień pracy przed sobą.

Opuszczając terminal, wsiedli do czekającej taksówki.

Miasto przesuwalo się za szybami

— szerokie bulwary, wieże kościołów i nowoczesne budynki, kontrastujące z dawną architekturą.

Marek otworzył teczkę, którą dostał od Dyrektora Mossadu.

W środku znajdowały się zdjęcia Al-Hassana, raporty i notatki Millera.

Każda strona mogła prowadzić do nowego odkrycia.

— Zaczniemy od fundacji

— zdecydował.

— Chcę zobaczyć, kto tam przychodzi i kto naprawdę za tym stoi.

Levi spojrzał na niego poważnie.

— Pamiętajmy, że to teren neutralny.

Oficjalnie nie mamy tu żadnych uprawnień.

Marek zamknął teczkę i odpowiedział chłodnym tonem:

— To nigdy nie zatrzymało tych, którzy chcą ukryć prawdę.

Taksówka skręciła w stronę centrum.

W oddali majaczyła wieża Eiffla, ale dla trójki agentów była tylko tłem.

Misja dopiero się zaczynała, a Paryż mógł okazać się bramą do sieci, która sięgała znacznie dalej niż ktokolwiek przypuszczał.

Meldunek operacyjny

Wieczorem, po zameldowaniu się w hotelu w centrum Paryża, Marek i Yael usiedli przy niewielkim stoliku w swoim pokoju.

Z zewnątrz słychać było gwar ulicy, a w oddali brzmiał akordeon jednego z ulicznych muzyków.

Yael rozłożyła mapę miasta i zdjęcia dostarczone przez Mossad.

Marek nalał im po kieliszku wina

— element legendy, który miał się zgadzać, gdyby ktoś ich sprawdzał.

— No dobrze

— zaczął Marek.

— Oficjalnie jesteśmy tu jako para.

Romantyczny wyjazd do Paryża, jeden pokój, trochę zwiedzania.

Wersja nie do podważenia.

Yael skinęła głową.

— W ciągu dnia będziemy się pojawiać w pobliżu biura fundacji.

Dwa, trzy razy, nie częściej.

Musimy wyglądać naturalnie, jakbyśmy po prostu spacerowali.

Marek przesunął palcem po mapie.

— Wieża Eiffla, Pola Elizejskie, Luwr.

Wszystko w zasięgu, więc mamy świetną przykrywkę.

W tym momencie odezwała się krótkofalówka.

To był Levi, który właśnie zameldował się z drugiego hotelu.

— Mam pokój dwa piętra niżej niż apartament Al-Hassana.

Widzę wejście do korytarza, będę miał oko na wszystkich, którzy do niego przychodzą.

— Doskonale

— odparł Marek.

— Twoja legenda obowiązuje: biznesmen w delegacji.

Hotel i tak pełen jest takich jak ty.

Levi roześmiał się krótko.

— To akurat najmniejszy problem.

Już teraz widzę, że Al-Hassan ma rutynę.

Kolacja o tej samej porze, kilku ludzi kręci się przy jego pokoju.

Wyglądają na ochroniarzy, choć próbują udawać gości.

Yael spojrzała na Marka i ściszyła głos.

— To oznacza, że mamy mniej czasu, niż myśleliśmy.

Jeśli fundacja to przykrywką, jego ludzie będą wyczuleni na każde obce spojrzenie.

Marek zamknął mapę, oparł się o krzesło i powiedział zdecydowanie:

— Działamy zgodnie z planem.

Ty i ja gramy zakochanych turystów.

Levi obserwuje Al-Hassana.

Meldunki składamy co wieczór.

Żadnych odstępstw.

W pokoju zapadła cisza, przerywana tylko dźwiękiem ulicznego akordeonu.

Operacja w Paryżu właśnie się zaczynała.

Pierwsza obserwacja biura fundacji

Popołudniowe słońce rozlewało się po paryskich ulicach, kiedy Marek i Yael szli w stronę dzielnicy biznesowej.

Na pierwszy rzut oka wyglądali jak zwyczajna para turystów

– trzymali się za ręce, śmiali się do siebie i robili krótkie przystanki przy wystawach sklepowych.

Kiedy dotarli w okolice biura fundacji, Yael objęła Marka ramieniem i szepnęła:

– Jeszcze kilka kroków i będziemy mieli idealne tło do zdjęcia.

Marek przyciągnął ją do siebie, wyjął telefon i uniósł go w górę.

Kliknęli serię selfie

– na tle ruchliwej ulicy, wśród mijających ich ludzi.

Z zewnątrz wyglądało to naturalnie, wręcz banalnie.

Yael przysunęła się bliżej, tak że z boku mogło wyglądać, jakby się całowali.

Tymczasem oboje mieli oczy skierowane w stronę budynku.

— Widzisz?

— wyszeptała.

Marek dostrzegł dwóch mężczyzn stojących przy wejściu do fundacji.

Garnitury, ciemne okulary, ale pod marynarkami wyraźnie rysowały się kabury.

Nie byli zwykłymi pracownikami ani ochroną oddelegowaną przez miasto.

Marek uśmiechnął się sztucznie do aparatu, przytulając mocniej Yael.

— Widzę. Ochrona uzbrojona.

To nie jest zwykła organizacja charytatywna.

Yael przesunęła dłoń po jego policzku, grając rolę zakochanej turystki.

— Patrzą na każdego, kto się zbliża.

Ale nie na nas. My jesteśmy tylko parą w Paryżu.

— I oby tak zostało

— odpowiedział Marek, chowając telefon.

Odeszli powoli, jakby szli dalej spacerem, rozmawiając półgłosem.

Ale w ich głowach zapadła już pewność:

Fundacja Al-Hassana to nie była żadna przykrywka humanitarna, tylko element czegoś znacznie poważniejszego.

Wieczorny meldunek w hotelu

Pokój hotelowy, zajmowany przez Marka i Yael, tonął w półmroku.

Za oknem migotały światła Paryża, a z ulicy dobiegał gwar nocnego miasta.

Na małym stoliku leżały rozrzucone notatki, długopisy i aparat, którego pamięć była już pełna zdjęć zrobionych podczas dnia.

Marek siedział oparty o krzesło, przeglądając notatnik.

Yael pochylała się nad aparatem, przesuując kolejne ujęcia

– od pozornie niewinnych selfie po subtelne kadry, na których w tle dało się dostrzec uzbrojonych strażników przy fundacji.

Drzwi otworzyły się cicho i wszedł Levi.

Zamknął je za sobą, sprawdził odruchowo korytarz i dopiero wtedy usiadł.

Położył na stole mały notatnik i pendrive'a.

— No to słucham

— powiedział, spoglądając na Marka.

Marek odchrząknął.

— Fundacja jest obstawiona.

Dwóch ludzi przy wejściu, uzbrojeni.

Nie kryją się z tym, chociaż udają zwykłych ochroniarzy.

Obserwowaliśmy przez kilka minut

– każdy, kto tam wchodzi, jest dokładnie lustrowany.

Yael dodała spokojnie:

– Ale dla ulicznych przechodniów wyglądają jak zwykła ochrona biznesowa.

To dobrze dobrani ludzie, wiedzą jak się kamuflować.

Levi pochylił się do przodu.

– U mnie też ciekawie.

Al-Hassan wrócił do hotelu późnym popołudniem.

Nie był sam.

Dwóch ochroniarzy weszło z nim na piętro.

Co ciekawe, miał krótką wizytę

– około dwudziestu minut

– w pokoju na niższym piętrze. Gość, którego jeszcze nie rozpoznałem.

Ale wyglądał na kogoś ważnego.

Marek spojrzał na Yael, potem na Leviego.

– To oznacza, że fundacja to tylko wierzchołek.

Spotkania odbywają się poza oficjalnym biurem.

Yael zapisała coś szybko w notesie.

– Musimy dowiedzieć się, kto był tym gościem.

To może być trop prowadzący nas dalej.

Levi wyciągnął pendrive'a i przesunął go w stronę Marka.

— Nagranie z korytarza.

Miniaturowa kamera w walizce zrobiła swoje.

Mamy jego twarz.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

Każde z nich wiedziało, że właśnie dostali nowy klucz do układanki.

Nagranie z korytarza

Yael podłączyła pendrive'a do laptopa stojącego na stoliku.

Ekran rozświetlił półmrok pokoju, a trójka bohaterów pochyliła się nad monitorem.

Obraz z kamery był czarno-biały, ale wyraźny.

Widać było korytarz hotelowy, drzwi do pokoju Al-Hassana i sylwetki ochroniarzy.

Nagle w kadrze pojawił się trzeci mężczyzna

— średniego wzrostu, w eleganckim płaszczu.

Szedł pewnym krokiem, bez chwili zawahania, jak ktoś, kto nie po raz pierwszy odwiedza to miejsce.

Marek zmrużył oczy.

— Zatrzymaj. Przybliź.

Yael spauzowała nagranie i powiększyła twarz gościa.

Rysy były ostre, spojrzenie chłodne, a na dłoni błyszczał charakterystyczny sygnet.

Levi westchnął cicho.

— Znam tę twarz.

— Skąd?

— Marek spojrzał na niego uważnie.

— To Omar Haddad. Biznesmen, oficjalnie inwestor w sektorze energetycznym.

Ale w naszych bazach widnieje od dawna.

Podejrzewany o finansowanie struktur terrorystycznych.

Nigdy nie było dowodów wystarczających, żeby go postawić przed sądem.

Yael zapisała szybko nazwisko w notesie.

— Haddad i Al-Hassan...

Jeśli działają razem, to mamy do czynienia z poważnym układem finansowym.

Marek oparł dłonie na stole.

— To już nie jest tylko obserwacja fundacji.

To sieć powiązań, która rozciąga się poza Paryż.

Levi skinął głową.

— Musimy natychmiast wysłać to nagranie analitykom.

Ale ostrzegam...

— jeśli Haddad tu jest, to oznacza, że w Paryżu planują coś dużego.

W pokoju zapadła cisza.

Na ekranie wciąż widniała zatrzymana klatka z twarzą Haddada

— nowy trop, który miał wciągnąć ich jeszcze głębiej w sieć intryg.

Reakcja Mossadu i CIA

Kilka godzin później, w Tel Awiwie, w sali operacyjnej Mossadu zebrali się kilku najważniejszych oficerów.

Na dużym ekranie zatrzymana klatka nagrania przedstawiała wyraźną twarz Omara Haddada.

Obok siedział Dyrektor Mossadu, a na łączach wideo pojawił się Dyrektor CIA wraz z dwójką doradców.

— To potwierdzone

— zaczął szef analityków Mossadu.

— Człowiek na nagraniu to Omar Haddad.

Oficjalnie inwestor, w praktyce od lat powiązany z siatką finansową wspierającą działalność ekstremistyczną.

Problem w tym, że do tej pory nigdy nie udało się zebrać twardych dowodów.

Dyrektor CIA nachylił się w stronę kamery.

— A teraz mamy go w Paryżu, w tym samym hotelu co Al-Hassan.

I to nie jako przypadkowego gościa, tylko partnera w rozmowie.

Dyrektor Mossadu stuknął palcem w blat stołu.

— To zmienia wszystko.

Miller był tylko pionkiem, Al-Hassan jest ogniwem, a Haddad?

On może być jednym z głównych architektów całej sieci.

W sali zapanowało napięcie. Jeden z oficerów CIA odezwał się ostrożnie:

– Jeśli będziemy za nim szli, ryzykujemy, że zorientuje się w obserwacji.

Haddad ma świetnie rozwinięty system bezpieczeństwa.

Dyrektor Mossadu spojrział na ekran, a potem na swoich ludzi w sali.

– Mimo to nie mamy wyjścia. Jeżeli Haddad jest w Paryżu, musimy wiedzieć, po co tu przyjechał.

Dyrektor CIA potwierdził:

– Utrzymujemy wspólną grupę zadaniową.

Wasz zespół

– Marek, Yael i Levi

– prowadzi obserwację na miejscu.

My wesprzemy ich z poziomu analitycznego i logistycznego.

Zapadła cisza, a potem Mossad dodał:

– Nie możemy pozwolić, by to spotkanie przeszło bez echa.

Paryż to dopiero początek.

Obaj dyrektorzy wymienili spojrzenia

– jeden przez kamerę, drugi siedząc w sali.

W tej chwili było jasne, że operacja nabierała rozmachu.

Nowy Rozkaz

Wieczór w Paryżu był chłodny.

W pokoju hotelowym Marek, Yael i Levi siedzieli nad mapą miasta, gdy odezwała się szyfrowana linia.

Marek podniósł słuchawkę, rozpoznał głos oficera dyżurnego z Tel Awiwu i od razu włączył tryb głośnomówiący.

— Słuchajcie uważnie

— głos był stanowczy, bez zbędnych wstępów.

— Po analizie nagrania zapadła decyzja na najwyższym szczeblu.

Wasz priorytet to teraz Omar Haddad.

Yael spojrzała na Marka, a Levi uniósł brwi.

— Al-Hassan?

— zapytał Marek.

— Nadal pozostaje w grze, ale jest tylko pośrednikiem. Haddad to większa ryba.

Jeśli dowiemy się, po co tu przyjechał, otworzymy całą strukturę.

Macie skupić się na nim.

— Głos oficera brzmiał twardo, jakby nie dopuszczał dyskusji.

Levi nachylił się nad stołem.

— Haddad to inny poziom.

On nie chodzi ulicami sam. Będzie miał ludzi wszędzie.

— Właśnie dlatego to wy macie się tym zająć.

— kontynuował oficer.

— Jesteście na miejscu, macie legendę, macie przykrycie.

Mossad i CIA będą was wspierać analitycznie.

Ale w terenie działacie sami.

Marek skinął głową, choć wiedział, że po drugiej stronie i tak tego nie zobaczą.

— Rozkaz zrozumiany.

— Śledźcie każdy jego ruch. Spotkania, kontakty, miejsca.

Chcemy pełnego obrazu. Każdy szczegół może być kluczowy.

— Po chwili dodał ciszej:

— I uważajcie.

Haddad nie wybacza błędów.

Połączenie zostało przerwane.

W pokoju zapadła cisza. Marek spojrzał na Yael i Leviego.

— No to mamy nowe zadanie.

Od tej chwili Haddad jest naszym celem.

Yael zamknęła notatnik i powiedziała spokojnie:

— A to oznacza, że ta gra dopiero się zaczyna.
